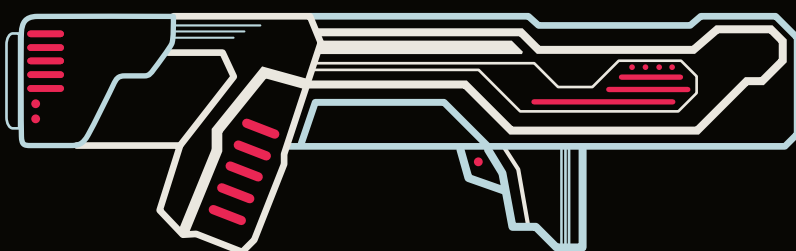
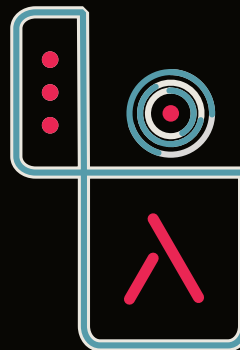
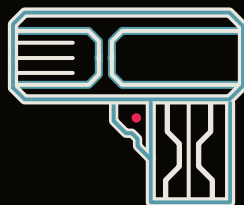
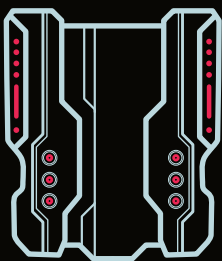
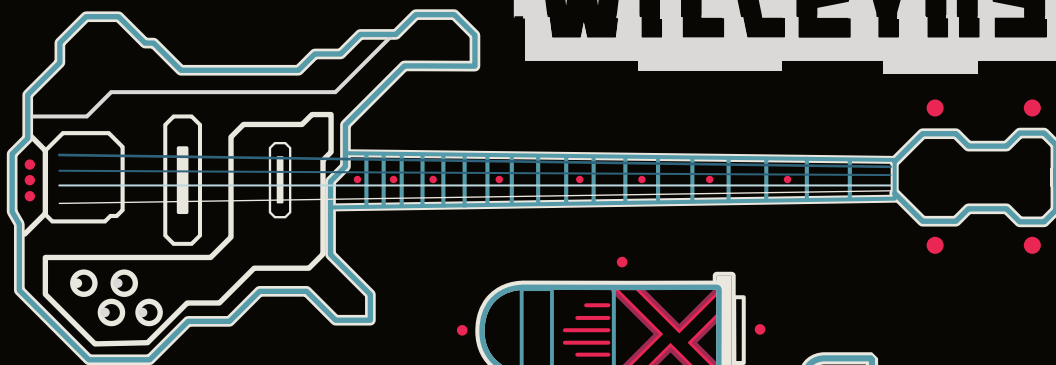




SKELETON

BLAŻEJ

WILCZYŃSKI



SKELETON

tekst i okładka: Błażej Wilczyński

www.blazejwilczynski.pl
www.instagram.com/blazej_wilczynski

Kontakt: blazej.wilczynski@gmail.com

Rozdział 1

„Elvis, człowieku! W dzisiejszych czasach żyłbyś wiecznie. I nie byłaby to ***** metafora”

1 stycznia 2149, 6:30

Otworzyłem oczy i natychmiast zorientowałem się, że to błąd. 15 minut snu po sylwestrowej imprezie to stanowczo zbyt mało. Nawet z wbudowanym systemem regeneracji. Spojrzałem na holograficzny ekran znajdujący się nad moim lewym przedramieniem. Informował, że stężenie alkoholu we krwi wynosi 1,7 promila. Dziwne. Powinienem być jeszcze pijany, a czułem się, jakbym właśnie zaczynał pierwszorzędnego kaca w Nowym Roku.

Krótko mówiąc, rok 2149 zaczynał się dokładnie tak, jak podejrzewałem. Przez chwilę zacząłem się nawet zastanawiać, czy przesąd „jaki Sylwester, taki cały rok” jest w jakimś stopniu prawdziwy. Niemal od razu w to zwątpiłem. Byłem pewny, że będzie dużo gorszy, niż to urocze 1,7 promila rano.

Nazywam się Gustav Drag, a 6 godzin i 30 minut temu skończyłem 63 lata. Nie urodziłem się 1 stycznia, jednak taka data wydaje się być dużo bardziej praktyczna. Całe miasto imprezuje w dzień twoich urodzin, więc nie trzeba organizować pseudo snobistycznych bankietów, na których jako prezent dostaje się alkohol lub masę niepotrzebnych rzeczy. Później bardzo ciężko to sprzedać, by i tak później kupić za to alkohol. Muszę zaznaczyć, że znacznie lepszy od tego, który się otrzymało.

Oczywiście nikt z uczestników dzisiejszej imprezy sylwestrowej nie wiedział, że mam urodziny. Całe szczęście. Musiałbym wypić jeszcze większą ilość niechcianych kolorowych drinków z osobami, które nie mają pojęcia, jak to się robi.

Rozejrzałem się po apartamencie, który zarezerwowałem równo pół roku temu z myślą o tej krótkiej, noworocznej drzemce. Okno rozpościerało się niemal na całą ścianę i widać było przez nie powoli budzące się do życia Shadow Villens. Zazwyczaj rozżarzone jaskrawym światłem neony były przygaszone, zupełnie jakby też chciały odreagować tę noc.

Wiem. Mogłem teraz uruchomić program zainstalowany w jednym z kilku moich wszczepów, a po chwili idealnie skomponowana mieszanka mikroelementów zostałaby zaaplikowana dożylnie do mojego krwioobiegu, niemal całkowicie niwelując kaca.

Mimowolnie się uśmiechnąłem. W przeciwieństwie do tych wszystkich tanich pozerów, których było pełno w Shadow Villens, lubiłem mieć kaca. Pozwalał mi się skupić, a w dodatku lekko rozmywał codzienny widok serwowany mi przez to miasto.

Po zaciągnięciu się papierosem, kolejny holograficzny ekran, który tym razem pojawił się nad moją lewą dłonią, poinformował mnie o zagrożeniach związanych z papierosami starego typu.

Westchnąłem. Crakuję ten program chyba od piętnastu lat, a i tak co roku w Sylwestra moduł wraca do ustawień fabrycznych. Naprawdę nie mogłem się doczekać napisu „Cracked by Gustav Drag”, który na pewno pojawi się tutaj dzisiejszego wieczora.

– Lecz najpierw musi się skończyć ten „urodzinowo – noworoczny” dzień – powiedziałem cicho do siebie, kierując się w stronę wyjścia i narzucając na siebie ulubiony, granatowy płaszcz.

– Czas powitać Shadow Villens w 2149 roku. Na razie za dnia – zupełnie jakby był to łatwy samouczek w grze wideo. Tym razem powiedziałem to o wiele za głośno, po czym zatrzasnąłem drzwi.

Po wyjściu z budynku natychmiast uderzyła we mnie fala zimna, a powoli pojawiające się płatki śniegu zaczęły tworzyć bardzo nietypowy krajobraz. Miasto skąpane w wyblakłych promieniach słonecznych, bez sztucznych świateł i w dodatku pokryte białym puchem. Walka z efektem cieplarnianym sprawiła, że śnieg był nieodłącznym elementem zimowej scenerii.

Zazwyczaj zatłoczone ulice wydawały się być teraz całkowicie bez życia, mimo że w zasięgu mojego wzroku znajdowało się kilkanaście osób. Sprawiali jednak wrażenie całkowicie zagubionych, zupełnie jakby nie mogli się pogodzić z faktem, że sylwestrowa noc dobiegła końca. Mała poprawka. Czteroosobowa grupka pijanych kolesi zdawała się dopiero rozgrzewać i znajdowała się w tak zwanym „punkcie limbo”. Znanym bardziej jako „do jakiego klubu idziemy teraz?”.

Uśmiechnąłem się z rozrzewnieniem, tęskniąc za takimi problemami, a następnie skręciłem w Black Scarlet Lane, kierując się w stronę metra. Nie do końca wiem czemu, ale nadal lubię poruszać się po mieście publicznymi środkami transportu. Może to moje staroświeckie podejście, ale w czasach gdzie proporcje przebywania w wirtualnym świecie zaczynają mieć niebezpieczną przewagę, lubię poczuć przysłowiowe „krew, pot i łzy”. Czy cokolwiek nadaje się do tego lepiej niż metro?

Ogromne hologramy nad ruchomymi schodami, które prowadziły do podziemnej stacji, obwieszczały niezliczoną paletą barw, że rok 2149 może być najlepszym w twoim życiu. Niestety o prawie siódmej rano było naprawdę mało przekonujące. Bardziej wzruszył mnie znacznie mniejszy hologram na peronie A1 informujący, że do odjazdu wagonu 93 zmierzającego w stronę Suburbii zostało 90 sekund. Przyspieszyłem kroku i po przejściu przez magnetyczną bramkę, która skanowała moje DNA, by sprawdzić, czy nie jestem poszukiwany przez sławne

„Shadow Villens Police”. Na szczęście włamałem się do ich systemu kilkanaście lat temu i folder „Gustav Drag” był kolorowy i pełen marzeń. Zupełnie jak neonowy park rozrywki otwarty jakiś miesiąc temu w centrum miasta z okazji nadchodzących Świąt.

Usiadłem obok młodej kobiety z wysoko postawionym irokezem. Miała na sobie skórzaną kurtkę z iluminującymi ćwiekami. Mój system obronny wyświetlił mi na siatkówce informację o tytanowym wszczepie zastępującym jej lewe przedramię, jednak zignorowałem ten fakt. Nie wydawała się niebezpieczna, jeśli coś takiego można powiedzieć o jakimkolwiek mieszkańcu tego radosnego przybytku. Dla pewności przeskanowałem drobinki jej potu nowymi receptorami wbudowanymi w palce (nowy nabytek od mojego prywatnego bio – mechanika Sigmunda). Wynik badania nie zaskoczył mnie jakoś specjalnie. Mieszanina alkoholu i kilku rodzajów narkotyków. Impreza sylwestrowa musiała być naprawdę udana.

Mogłem się teraz wygodnie rozsiąść, nie zastanawiając się, czy jej tytanowe przedramię nie zechce sprawdzić wytrzymałości mojej tchawicy na nagłe przyduszanie. Tak, wiem. Witamy w Shadow Villens.

Wagon ruszył, a ja mogłem się zająć przeskanowaniem reszty podróżnych. Było ich dzisiaj dużo mniej niż zazwyczaj, co można łatwo wytłumaczyć post – sylwestrowym dniem wolnym. Mój wzrok niemal natychmiast przykuł łysy mężczyzna ubrany w pstrokatą marynarkę. Jednak to nie ona spowodowała moje zainteresowanie. Jego tętno stale przyspieszało i co jakiś czas wykazywało addytywne skurcze.

Włączyłem skaner skalibrowany przez Sigmunda, który wykrywał uzbrojenie. Nawet te odpowiednio zakamuflowane, to znaczy przechowywane w futerałach z odpowiednio skomponowanej mieszaniny stopów. Była to ostatnio prawdziwa plaga, przez co nie radził sobie z tym mój skaner pracujący w trybie czasu rzeczywistego. Musiałem wybrać konkretną osobę i przez kilka sekund naświetlać ją niewidzialną wiązką promieni UVX (Sigmund wymyślił tę nazwę, a w dodatku uważał to za strasznie zabawną grę słów. Krótko mówiąc, nie podzielam tej opinii). Wynik skanowania tylko potwierdził moje przypuszczenia. Mężczyzna miał przy sobie Krawlera kaliber 23 mm. To jest jednak ta mało zaskakująca informacja.

Właśnie w tym punkcie pojawia się wspomniany chwilę wcześniej problem. Pistolet był ukryty wewnątrz wszczepu zastępującego jego lewą nogę, a mój podstawowy system obronny nie miał o tym pojęcia. Nie natknąłem się jeszcze na wszczepy zbudowane ze stopów, które były niewykrywalne z poziomu podstawowego skanowania. Dwie myśli natychmiast przeszły mi głowę. Pierwsza. Muszę jeszcze dzisiaj powiedzieć o tym Sigmundowi. Druga. Znacznie ważniejsza.

Muszę się dowiedzieć, kto to zbudował.

To powodowało kolejny problem. Ściągnięcie go w wagonie metra nie wchodziło w grę. Za dużo świadków, za dużo kamer plus gorąca linia policyjna, do której podpięty był każdy pociąg. System bezpieczeństwa metra został zmodernizowany już kilkanaście lat temu, po ogromnej liczbie incydentów, których afterparty przenosiło się zazwyczaj do kostnicy. A tam naprawdę słabo się tańczy.

Tętno mężczyzny przestało wzrastać, bo osiągnęło poziom mogący już reklamować stany przedzawałowe, co znaczyło, że może on w każdej chwili opuścić pociąg. I dokładnie wiedziałem, co chce zrobić. Każda firma zajmująca się handlem mało legalnymi produktami, takimi jak ten niewykrywalny wszczep, zanim wprowadziła je na rynek, robiła sprawdzenie wykonywane przez tak zwanych stesserów. Były to kryminalne płotki, którym obiecano spłatę długów, żądając w zamian wykonania bardzo ryzykownych zadań, które sprawdzały nowy produkt. „Nielegalne beta testy”, jak lubił je nazywać Sigmund, nie narzekały na brak chętnych. Waluta w tym mieście jakoś nigdy za bardzo nie śmierdziała. Albo przynajmniej ja nie czułem.

Mężczyzna w pstrokatej marynarce idealnie pasował na stessera, bo nawet ktoś słabo zorientowany w temacie broni wiedział, że w mieście trudno o większy szmeln od tego Krawlera. A sam wszczep był warty kilka naprawdę solidnych walizek waluty.

Zlecenie zapewne polegało na sprawdzeniu zabezpieczeń w konkretnych budynkach. Oraz czy lub po jakim czasie broń znajdująca się w jego wszczepie zostanie wykryta. Nie mogłem na to pozwolić, ale zdawałem sobie sprawę, że nie będzie to takie proste. Stesserzy mają zazwyczaj blisko siebie „niewidzialną” ochronę. Zawodowców, którzy w przypadku zdemaskowania mają za zadanie ewakuować go z miejsca zdarzenia. Oczywiście nie zależy im na samym stessersze, ale na produkcie, którą testuje. W dodatku stesserzy prawie nigdy nie sypią swoich mocodawców. Jak już wspominałem, to płotki, na które można znaleźć bardzo dużo haków, a ich użycie było by znacznie bardziej dotkliwe, niż odsiadka w przytulnym więzieniu.

Ktoś mógłby teraz spytać, skąd tyle wiem o stesserach. Odpowiedź jest bardzo prosta. Sam ich zatrudniam. Teraz powinno paść kolejne pytanie – „dlaczego”? W tym przypadku odpowiedź też nie jest zbyt skomplikowana. Zajmuję się handlem. A co jest najbardziej potrzebnym towarem w Shadow Villens?

Tak, jestem handlarzem broni.

Przymknąłem oczy, żeby sprawdzić, jakie ważne budynki (tym samym posiadające najbardziej zaawansowane zabezpieczenia) są na naszej trasie przejazdu. Skupiłem się na bankach, komisariatach, budynkach rządowych i siedzibach firm, które zatrudniają powyżej 1000 pracowników. Po chwili ta informacja wyświetliła mi się na elastycznych matrycach wbudowanych po wewnętrznej stronie powiek w postaci interaktywnej mapy. Najbliżej znajdował się południowy komisariat policji oraz siedziba firmy Marsh Investments. Zgodnie z rozkładem przystanków powinniśmy się tam znaleźć za około 3 minuty, czyli nie pozostało mi dużo czasu, żeby zająć się stesserem. W dodatku doskonale wiedziałem, że gdzieś w pobliżu

znajdują się jego ochroniarze. Jeśli tylko zorientują się, że coś grozi ich podopiecznemu, będą starali się mnie zneutralizować. Oczywiście bardzo źle by się to dla nich skończyło, ale publiczność w wagonie plus system monitoringu nie byłiby wtedy moimi najlepszymi przyjaciółmi.

Wbrew pozorom wagon metra mógł się okazać całkiem pomocny, bo każdy był wyposażony w elektromagnetyczne kajdanki. Zostało to wprowadzone, ponieważ wielu osobom udawało się oszukać bramki kontrolne na stacji. Jednak szyfrowanie przez dłuższy czas własnego sygnału będąc poszukiwanym było niesamowicie wyczerpujące, a do centralnej kartoteki naprawdę niewielu osobom udało się włamać. Nie żebym się chwalił.

Wystarczyło teraz zhakować ID stessera i dodać tam informację, że jest rozchwytywany przez policję za poważne oszustwa finansowe, a system bezpieczeństwa niemal natychmiast to wykryje i zrobi użytek ze wspomnianych wcześniej kajdanek. Na kolejnym przystanku będzie czekać komitet powitalny, który zabierze go na przemile przesłuchanie pełne pytań, zagadek i tajemnic.

Tylko na chwilę tworzyłem oczy, żeby ostatni raz sprawdzić, czy nic mi nie zagraża, zanim wejdę do Sieci. Musiałem się śpieszyć z dwóch powodów. Stesser mógł wysiąść już na najbliższym przystanku, ale co ważniejsze, będąc w Sieci, mój system obronny nie działał w pełni możliwości.

Zaszyfrowałem sygnał i po chwili byłem już w jego systemie plików. To dziwne uczucie. Gdybym miał je do czegoś porównać, byłby to świadomy sen bardzo rozciągnięty w czasie. Pełen kolorów i kształtów, które bez odpowiedniego przeszkolenia wydają się nie mieć sensu. Z czasem zaczyna się dostrzegać strzępy informacji, by później poruszać się tu lepiej niż w rzeczywistości. Tak. Wielu ludzi całkowicie się tutaj zgubiło, zupełnie jak na pierwszej imprezie z alkoholem. Jednak taki sposób jest znacznie szybszy i bardziej efektywny, niż standardowe wpisywanie komend przy pomocy terminala. Po kilku sekundach wiedziałem, że mężczyzna nazywa się Óscar Scout i aktualnie przebywa na warunkowym zwolnieniu. Wystarczyło teraz tylko trochę nagiąć te warunki.

Uśmiechnąłem się i przez ułamek sekundy zastanawiałem się, czy ten uśmiech był tylko wirtualnym impulsem, czy moja twarz również na niego zareagowała. Równie szybko skarciłem się za takie marnowanie czasu. Dopisanie linijek kodu, które zawierały informacje o przestępstwie, zajęło kilka sekund. Zdecydowanie za długo, jednak nie mogłem popełnić błędu. Zmienne musiały idealnie się zgadzać z tymi używanymi przez policję. Inaczej niemal natychmiast zorientowałiby się, że to włam. Na koniec napisałem prosty program, który połączył się z kodem systemu Óscara i zaczął tworzyć nieskończoną pętlę backdoorów. To akurat było zabezpieczenie przeciwko mocodawcom stessera. Nie będą w stanie określić, skąd nastąpiło włamanie. To zupełnie jak sprawdzanie jednej możliwości, podczas której zdąży się stworzyć 5 kolejnych.

Otworzyłem oczy i głębiej wciągnąłem powietrze, które było dokładnie takie, jak się spodziewałem. Gorzkie i rozpływało się w ustach. Powroty do rzeczywistości były coraz trudniejsze dla mojego organizmu. Przełknąłem ślinę i wystarczyło teraz

odczekać kilka sekund, zanim policyjna baza danych zsynchronizuje się z systemem zabezpieczeń metra. Nigdy nie trwa to dłużej niż...

Już nieważne.

Światła wagonu zaczęły nagle migotać w jaskrawych odcieniach czerwieni, a z głośników wydobywał się syntetyczny głos nakazujący zachować spokój, ponieważ w wagonie znajduje się poszukiwany przestępca. Oczywiście po chwili dodano, że na najbliższym przystanku zajmie się nim policja. Szczerze mówiąc, dawno nikt mnie bardziej nie uspokoił, zwłaszcza w sylwestrowy poranek.

Czekałem teraz na prawdziwego bohatera wieczoru. Kajdanki. Ich pojawienie zazwyczaj rozpoczyna się spokojnie. Ot, po prostu kolejne źródło światła, które zbytnio nikogo nie interesuje, ponieważ zlewa się z pozostałymi. Jednak taki stan rzeczy trwa tylko przez chwilę. Kilka sekund później mkną one przez pół wagonu, z gracją omijając resztę podróżnych, by w końcu zakleszczyć się na ciele podejrzanego.

Kajdanki znalazły się obok stessera tak szybko, że jego ręce, nogi i szyja niemal natychmiast zostały objęte stalowymi obręczami. Co więcej kajdanki wytwarzały własne pole grawitacyjne, nie pozwalając na żadne ruchy. Nie mogłem czekać aż Oscar otrząśnie się z szoku i dotrze do niego, co się właśnie stało, bo miałem jeszcze jedno ważne zadanie do wykonania. Namierzyć jego ochroniarzy. Zazwyczaj to oni „zawierają” najwięcej informacji.

Znowu zamknąłem oczy, jednocześnie włamując się do systemu monitoringu metra i zacząłem ripować stream ze wszystkich sześciu kamer znajdujących się w wagonie. Obraz pojawił się znowu na wewnętrznej stronie powiek, dzięki czemu mogłem się wszystkim dokładnie przyjrzeć, nie wzbudzając żadnych podejrzeń. Wiedziałem, że ochroniarze są w wagonie, nie wiedziałem tylko ilu. Zazwyczaj jest ich dwóch, ale ten testowany wszczep wydawał się być na tyle wartościowy, że nie zdziwiłbym się zbytnio, gdyby ich liczba była większa.

Zsynchronizowałem obraz z kamer ze specjalnym algorytmem, który skanował twarze, umiał rozpoznać ich emocje i znaleźć powiązania między nimi.

Czekałem aż algorytm wykluczy podróżnych, którzy są zaniepokojeni całą tą sytuacją. Ta grupa stanowiła większość, a wiedziałem, że ochroniarze są tak zaprojektowani, by nie odczuwać strachu. Odfiltrowanie grupy „przestraszonych” nie rozwiązywało jednak całkowicie sprawy. Dużo osób po sylwestrowej nocy było w takim stanie, że wagon zalany migotającym światłem oraz informacja o poszukiwanym przestępcy nie robiła na nich najmniejszego wrażenia. Dzisiejszej nocy widzieli znacznie gorsze rzeczy. Lub je robili.

Wciąż obserwowałem wszystkie sześć streamów i pojawiające się symbole na twarzach, które były efektem działania programu. Zostało mi niewiele czasu, żeby namierzyć ochroniarzy. Na szczęście po kilkunastu sekundach aplikacja ich znalazła, ponieważ trzy osoby spoglądały co jakiś czas na siebie, by później kierować swój wzrok na Öscara i na system monitoringu. To trochę dziwne, ale miałem nieodpartą ochotę pomachać im z kamery. Uśmiechnąłem się, jednak tylko na kilka milisekund, bo znowu musiałem wejść do Sieci.

Pierwszy cel. Mężczyzna ze splecionymi w finezyjny sposób włosami. Stał na samym końcu wagonu. Przez głowę przeleciała mi głupia myśl, że jego fryzjer musi za nim tęsknić każdego wieczoru. W dodatku razem z krawcem, bo noszony przez niego płaszcz był pokryty ogromną ilością iluminujących świateł, które mogły przybierać dowolny kolor. Może trzeba się później zastanowić nad zmianą zawodu, skoro ochroniarze mogą sobie pozwolić na takie rzeczy.

Drugi cel. Kobieta o azjatyckich rysach, której ciało w niemal 90 procentach było pokryte tatuażami, a przezroczysta kurtka narzucona na dopasowany gorset zapewne aż nadto przykuwała uwagę. Mogłoby się wydawać, że krzykliwy ubiór nie pasował do profesji ochroniarza, jednak w tym mieście tak dużo osób próbuje zwrócić na siebie uwagę, że tak naprawdę nikogo to nie obchodzi.

Trzeci cel. Wysoki i muskularny Latynos w idealnie skrojonym białym garniturze. Uwypuklał on godziny spędzone na siłowni lub nielegalne odżywki. Zapewne jedno i drugie.

Wiedziałem, jak wyglądają w rzeczywistości, przez co byłem niemal pewny jakie kształty i barwy będą reprezentować w Sieci. Potrzebowałem tylko kilku sekund, żeby u każdego z nich dopisać niewielki program, który pozwoli mi ich później zlokalizować, bo zapewne wysiądą na najbliższym przystanku razem ze stesserem. Z tą różnicą, że on robi to w policyjnej eskorcie.

Pociąg zaczął zwalniać i zanim zatrzymał się na stacji „Temper Street”, spojrzałem na Öscara. Był tak przerażony, że nie starał się nawet złapać kontaktu wzrokowego z ochroniarzami. Nie zdziwiłoby mnie to zbytnio, że nie ruszyłby się stąd, nie mając na sobie stalowych kajdanek. Naprawdę nie miałem pojęcia, kto zlecił mu sprawdzenie tego wszczepu, ale musiał być dużo bardziej przerażający od policji.

Mimowolnie się uśmiechnąłem. To w sumie nic trudnego.

Trójka ochroniarzy powoli przemieszczała się w stronę Öscara, ale chyba tylko po to, żeby dodać mu fałszywego poczucia otuchy. Nie mogli mu pomóc. Świadkowie, monitoring i jednostka policji czekająca na najbliższym przystanku. Zbyt duże ryzyko.

Tak naprawdę próbowali znaleźć mnie.

Musieli się domyślić, że ktoś włamał się do systemu stessera i dopisał do jego kodu informacje o byciu poszukiwanym, przez co ich wynagrodzenie stało pod wielkim i neonowym znakiem zapytania.

Gustav Drag jednak nie zostawia w Sieci zbyt wielu śladów moi drodzy, a jeśli już, prowadzą one do uroczej i jakże urokliwej miejscówki o nazwie „Ślepa Uliczka”.

Wagon zatrzymał się, lekko szarpiąc, a jaskrawe światło zamieniło swój odcień na szpitalno – mleczny. Wszyscy pasażerowie wagonu wpatrywali się w stessera, niektórzy rozpoczęli transmisję wideo poprzez wbudowane w żenicach obiektywy, co próbowała blokować Azjatka z zespołu ochroniarzy. Z całej trójki to ona była najlepszym hakerem. Transmisji było jednak zbyt dużo, więc po chwili zrezygnowała, wypowiadając kilka japońskich przekleństw.

Nagle z głośników rozległ się ten sam irytujący głos zachęcający do zachowania spokoju i odsunięcia się od poszukiwanego. Tłum zrobił to z wyraźną niechęcią, bo

jak to mówią: „jeśli komuś przytrafi się wypadek, ciesz się, że ciebie to nie dotyczy, ale jednocześnie bij się łokciami o najlepsze miejsca. W końcu twój stream musi być jak najlepszej jakości”.

Dobra. Może nie ma takiego przysłowia, ale mogę zagwarantować, że ma stuprocentową skuteczność.

Drzwi wagonu powoli się otworzyły, a powietrze zostało przecięte przez fioletowe wiązki laserów pochodzące z karabinów szturmowych policjantów. Znam ten model aż za dobrze, mam nawet kilka egzemplarzy ukrytych w kuchni. Uśmiechnąłem się. Raczej nie nadaję się do zabawy „pokaż mi swoją kulinarną talenty, a powiem ci, kim jesteś”.

Czterech policjantów powtórzyło tę samą formułkę, co syntetyczny głos kilkanaście sekund wcześniej. Poprosili o zachowanie spokoju i odsunięcie się od poszukiwanego. Oczywiście zadziałało to w jedyny możliwy sposób. Ludzie zrobili jeden, symboliczny krok do tyłu, a liczba streamów zaczęła lawinowo wzrastać, co dobitnie potwierdził mój system monitorujący podstawowy ruch w Sieci.

Jeden z funkcjonariuszy opuścił nagle broń, a ze swojego przedramienia, które niewątpliwie było wszczepem, wyciągnął dwa stalowe cylindry. Kiedy oddalił je od siebie, pomiędzy nimi pojawiła się delikatna, niebieska poświata.

– Przecież to nosze – pomyślałem i w ułamku sekundy uświadomiłem sobie, co będzie dalej. Już nie musieli go skuwać.

Policjant przyłożył dłoń obok ucha zupełnie bladego Öscara, a ten niemal natychmiast stracił przytomność. Jego mięśnie całkowicie zwiotczały, zachowując się jak model ragdoll w grze wideo. Było to łatwe do przewidzenia. Impuls paraliżujący to jedna z ulubionych zabawek policjantów z Shadow Villens.

Gliniarz umownym ruchem ręki przywołał do siebie dwóch funkcjonariuszy, którzy w błyskawicznym tempie pomogli mu ułożyć stessera na noszach.

Skierowałem z powrotem wzrok na trójkę ochroniarzy. Starali się nie okazywać żadnych emocji, jednak mój system monitorujący nie kłamał. Ich tętna przekroczyły wartość normatywną o jakieś pięć procent. W ich przypadku oznaczało to naprawdę spore zdenerwowanie.

Skupiłem się znowu na policjantach opuszczających wagon. Öscar bezwładnie spoczywał na noszach, nie będąc świadomym, że od kilkunastu minut był przeze mnie obserwowany. Nie wiedział także, że u każdego z jego ochroniarzy zostawiłem niewielki program, który co kilkanaście sekund będzie przysyłał mi zaszyfrowaną informację o ich położeniu. Byłem niemal pewny, że będą go „eskortować” razem z policjantami, a dzięki temu dowiem w którym komisariacie zostanie umieszczony. Mogłem się też założyć, że prezent gwiazdkowy przyjdzie do mnie tydzień po czasie. Albo niemal o rok za wcześnie.

Wiele osób wysiadło z wagonu razem z nimi. Część zapewne nie chciała urywać swojej wideo – relacji w najciekawszym momencie, część naprawdę musiała tutaj wysiąść, a mężczyzna z dziwnie splecionymi włosami, wytatuowana Azjatka w przezroczystej sukience oraz Latynos w białym garniturze mieli mi nieświadomie pomóc w rozwiązaniu tajemnicy niewykrywalnego wszczepu.

Syntetyczny głos kazał odsunąć się od drzwi, które powoli się zamknęły. Pociąg ruszył, a ja mogłem wrócić do skanowania reszty współpasażerów. W końcu do Suburbii zostały jeszcze 3 przystanki.

Naprawdę nie rozumiem ludzi, którzy nie lubią jeździć metrem.

Suburbia, czyli dzielnica w której mieszkałem, była całkowitym zaprzeczeniem Shadow Villens. Neony ograniczały się tutaj do kilkunastu latarni, które rzucały delikatną poświatę, przez co w nocy panował tu permanentny półmrok. Co więcej, natężenie światła latarni było tak słabe, że były one włączone nawet teraz – w godzinach porannych.

Stacja metra także nie przypominała tej z centrum. Była utrzymana w sterylnej bieli, a w kilku miejscach została poprzecinana starymi, betonowymi przyporami. Na próżno można było tu szukać holograficznych ekranów i jaskrawych reklam, które były standardowym widokiem w centrum miasta. Tak... Ostatnia stacja na trasie prezentowała się dokładnie tak, jak powinna to robić przysłowiowa „ostatnia stacja na trasie”. Wysiadało tu niedużo osób, co oczywiście nie było spowodowane tym, że mieszkało tu niewielu osób. Po prostu mało kto dojeżdżał tutaj metrem. Obywatele Shadow Villens zwykli nazywać tę dzielnicę „Strefą Najbogatszych” i lubili dodawać sporą garść niecenzuralnych słów w środku tego opisu. Szczerze mówiąc, zgadzałem się z nimi w obydwu kwestiach.

Suburbia była niczym schronienie dla zamożnej części społeczeństwa, a z tego co mi wiadomo, nikt w tym mieście nie znalazł swojej metaforycznej walizki wypełnionej walutą w legalny sposób. W końcu sam jestem tego najlepszym i najgorszym przykładem jednocześnie.

Po minięciu kilkunastu budynków, które w drastyczny sposób różniły się od siebie stylem architektonicznym – począwszy od pełnego minimalizmu, a kończąc na neo – baroku, znalazłem się obok swojego domu. Był on zaprojektowany w duchu japońskiej architektury (albo chociaż ja lubiłem tak o tym myśleć), gdzie dominowały beton, szkło, stal i drewno, oraz dwie przeciwstawne barwy – czerń i biel.

Zanim dotknąłem stalowej bramy, system bezpieczeństwa zaprojektowany przez Sigmunda zdążył przeskanować moje DNA, co pozwoliło mi uniknąć przykrych niespodzianek takich jak wiązka promieni czasowo paraliżujących układ nerwowy. Tak, moja córka nie ma łatwego życia, zapraszając chłopaków do domu.

Po znalezieniu się w ogrodzie stwierdziłem, że zima całkiem mu służy. Gruba warstwa śniegu pokrywająca wszystkie rośliny tworzyła naprawdę magiczny klimat, czego na pewno nie można było tutaj powiedzieć w okresie letnim. Matowe plamy światła, których ogromna ilość była wbudowana w ziemię, podświetlały mój każdy

krok, co wraz z zalegającym na ich powierzchni białym puchem, nawet na tak zgorzkniałym 63 – latku robiło niemałe wrażenie.

Dotknąłem otwartą dłońią płytki z czarnego szkła, która zrobiła szybki skan linii papilarnych, po czym drzwi otworzyły się, a ja znalazłem się w przestronnym holu, gdzie wszystkie powierzchnie były wykończone starannie oszlifowanym betonem. Oprócz ogromnej szafy znajdował się tutaj jedynie czerwono – fioletowy neon układający się w napis „Shadow Villens Born Loserz” kupiony lata temu na pchlim targu. Mimo wszystko jego sens był tak bardzo aktualny, że nie mogłem się powstrzymać od mimowolnego uśmiechu.

Zdjąłem płaszcz i buty, później umieszczając je w odpowiednich przegrodach w szafie, a następnie przeszedłem do salonu zintegrowanego z kuchnią. Przy stole w jadalni siedziała moja córka Lena i aktualnie była zajęta przygotowywaniem swojej receptury płatków śniadaniowych. Polegało to na dostosowaniu takich zmiennych jak smak, chrupkość oraz zawartość cukru, a następnie wprowadzenie ich do interfejsu znajdującym się na szklanym opakowaniu. Następnie wbudowany mechanizm przygotowywał wybraną przez nas wcześniej recepturę. Nie powiem, bywa to całkiem przydatne. Jednak mając kaca, jakiegokolwiek płatki śniadaniowe nie podnosiły mojego poziomu dopaminy. Może gdyby chociaż zhakować to urządzenie, aby przygotowywało kurczaka w czerwonym curry? Przepraszam. Rozmarzyłem się.

– Cześć tato – rzuciła Lena, cały czas wpatrując się w ekran na opakowaniu płatków oraz dostosowując chyba już ostatnią opcję. W końcu ile można się zastanawiać nad zupą mleczną w noworoczny poranek?

– Hej – odpowiedziałem, wygodnie rozsiadając się na krześle.

– Jak impreza? – spytała, tym razem unosząc wzrok. Znaczyło to mniej więcej tyle, że płatki właśnie zaczęły się przygotowywać.

– Na pewno lepiej niż twoja – uśmiechnąłem się, jednocześnie wskazując na płatki. – Jeśli jesteś w stanie teraz to jeść, nie mogło być za dobrze.

Lena wybuchnęła śmiechem, o mało nie rozlewając mleka.

– Nie piłam dużo. Chcemy dzisiaj z Präln pojechać do Shadow Villens namalować kilka szablonów.

– A czy my przypadkiem teraz nie jesteśmy w Shadow Villens? – spytałem, omijając oklepany żart, czy Präln to na pewno prawdziwe imię i czy jej mama nie jest zbyt fanką czekoladowych pralinek. Tak, tak, Gustav – ojciec żartowniś to właśnie ja.

– Tato – przeciągnęła Lena. – Nazwa naszej dzielnicy naprawdę nie jest przypadkowa. To są przedmieścia. Przed – mieścia – powtórzyła.

– Faktycznie. Zapomniałem, że dla ludzi w wieku 17 lat dzielnica z nazwą chociaż trochę różniącą się od „Centrum”, brzmi jak zaginiona wioska na Antarktydzie.

Lena szeroko się uśmiechnęła, w międzyczasie pochłaniając kolejne łyżki płatków.

– Po pierwsze tato, naprawdę się cieszę, że tak dobrze rozumiesz rozterki moich rówieśników. Po drugie, rocznikowo mam już 18 lat. Po trzecie – w tym momencie

Lena podeszła do piekarnika. – Wszystkiego najlepszego z okazji urodzin – dodała, wyciągając pizzę, która na pierwszy rzut oka zawierała kilka rodzajów sera, szynki i warzyw, czyli wyglądało to jak jedno z najlepszych lekarstw na kaca. Zdażyłem nawet zapomnieć o tym kurczaku w curry. Żartuję. Nigdy o nim nie zapominam.

– Naprawdę wiesz, jak pocieszyć staruszka – powiedziałem, odrywając pierwszy kawałek i kładąc go na talerzu. W międzyczasie Lena nalała mi do szklanki syntetycznej Coli, która w odróżnieniu od tej standardowej zawierała zestaw witamin i była ogólnie zdrowa. Nie muszę chyba tłumaczyć, że z dużo większą chęcią napiłbym się tej standardowej, jednak minęły już lata, odkąd skończyli jej produkcję, a w Shadow Villens istnieją dużo bardziej opłacalne specyfiki do nielegalnego wytwarzania, przez co jest ona niedostępna nawet na czarnym rynku.

– To ile chcecie namalować tych szablonów? – spytałem pomiędzy jednym, a drugim kawałkiem pizzy.

– Nie wiem, pięć? - Lena wzruszyła ramionami. – Dzisiaj powinno być łatwiej niż zwykle. W końcu policja też obchodziła Nowy Rok.

Jednocześnie się uśmiechnęliśmy. Nie powiem, żebym jakoś specjalnie pochwalał pasję Leny do tworzenia graffiti, lecz z drugiej strony jakoś zbytnio mi to nie przeszkadzało. W Shadow Villens istnieją znacznie gorsze rzeczy, którymi mogą zajmować się osiemnastoletnie dziewczyny. W porównaniu z nimi graffiti wydawało się być wymarzoną zajęciem dla własnej córki. W dodatku w tym mieście każdego ojca czeka rozmowa nie o pierwszym tatuażu, tylko o pierwszym wszczepie. Tak... Bycie rodzicem w Shadow Villens. Szanuję, ale nie zachęcam. Myślę, że 98% moich siwych włosów zawdzięcza swój niepowtarzalny kolor właśnie Lenie. Pozostałe 2% podążyło po prostu za tłumem. Zdaję sobie sprawę, że jestem w mniejszości mężczyzn po sześćdziesiątce, którzy nie farbują tutaj włosów, jednak moje zamiłowanie do retro odnosiło się także do mojej fryzury.

– Wyślij mi jakieś zdjęcia, jak skończycie – powiedziałem jak typowy ojciec, który jest ciekawy pracy swojego dziecka niezależnie od końcowego efektu. Na szczęście Lena miała spory talent i oglądanie jej prac za każdym razem powodowało u mnie sporą dumę.

– Jak zawsze tato. Nie musisz mi przypominać – odparła Lena, wstając od stołu i wkładając naczynia do zmywarki.

– Ale pamiętasz jeszcze, że w tym roku piszesz egzamin maturalny? – powiedziałem jak jeszcze bardziej typowy ojciec, który chce poruszyć ważny temat na sam koniec rozmowy. Tak... Już dawno zapomniałem o czymś takim, jak rodzicielska godność.

– Jak zawsze tato. Nie musisz mi przypominać – powtórzyła Lena, robiąc przy tym gest naśladujący przewijaną taśmę. Ktoś mógłby zwrócić uwagę, że Lena nie może wiedzieć o istnieniu takiego nośnika, jak taśma magnetofonowa. Być może. Jednak podobnie jak ja jest fanką rzeczy, które typowi ludzie zwykli nazywać antykami. Ostatnio zakupiła w „Retro Dinosaur” 8-bitową konsolę do gier. Oczywiście w „mint condition” jak zaznaczyła wielokrotnie, zapewne żeby usprawiedliwić wysoką cenę. Mimo wszystko jest to wciąż mocno zastanawiające,

biorąc pod uwagę fakt, że dzisiejsze konsole do gier oferują grafikę na poziomie fotorealizmu, a tryb VR może być wyświetlany w trybie rzeczywistym w kilku pomieszczeniach jednocześnie. 8-bitowa grafika wygląda przy tym... To w ogóle grafika?

– To jeszcze raz wszystkiego najlepszego – powiedziała Lena, całując mnie w policzek. – Drugi prezent jest u ciebie w pokoju – dodała z uśmiechem, zmierzając w stronę piwnicy, gdzie znajdowała się stara wycinarka CNC. To na niej są tworzone jej szablony. Lubię dogryzać Lenie, pytając, czy jest świadoma, że sto lat temu grafficiarze wycinali swoje szablony nożykiem. Otrzymuję wtedy szybką ripostę, że również sto lat temu mój Cadillac by nie latał. Szach – mat ojcowie, którzy myślicie, że jesteście sprytni.

Zjadłem ostatni kawałek pizzy i popiłem go resztką syntetycznej coli, będąc niemal pewny, że mój system monitorujący za kilkanaście minut wyświetli informację, że zawartość alkoholu we krwi wynosi 0 promili. Tak, pizza z colą jako lekarstwo na kaca działa już od stuleci. W końcu miliony testerów nie mogły się mylić.

Powoli wstałem i ruszyłem ku betonowym schodom, które prowadziły na pierwsze piętro. Znajdowały się tutaj jedynie dwie sypialnie, oddzielone od siebie szerokim holem, na zakończeniu którego znajdowała się przestronna łazienka. Cały korytarz był utrzymany w surowym stylu – białe ściany kontrastowały z widoczną konstrukcją żelbetową podłogi i sufitu.

Temu wszystkiemu przeczył wystrój mojej sypialni. Przypominała ona trochę salkę prób początkującego zespołu rockowego z dostawionym łóżkiem. Oczywiście jeden z członków tego zespołu (czytaj ja) miał bogatych rodziców (metaforycznie też ja), dlatego mieściło się tutaj kilka naprawdę dobrych wzmacniaczy, w rogu stała neonowo – podświetlana perkusja, a na jednej ze ścian wisiało kilkanaście gitar. W dodatku na biurku stał odrestaurowany adapter płyt winylowych, których ogromna kolekcja mieściła się w szafie robionej na specjalne zamówienie. Oczywiście nie mogę nie wspomnieć o sporej garderobie ukrytej za cienką ścianą działową.

Skierowałem wzrok na łóżko. Po wejściu do sypialni było niemal niewidoczne, zupełnie jakby miało świadomość, że nie pasuje do muzycznego otoczenia. Wtedy momentalnie przypomniałem sobie o słowach Leny dotyczących prezentu numer dwa. Na środku znajdował się skórzany futerał pokryty różnorodnymi naklejkami pamiętającymi zapewne odległe czasy. Powoli go otworzyłem i zdałem sobie sprawę, że została mi sprezentowana niemal dwustuletnia gitara basowa, czyli została wyprodukowana w okresie świetności moich ulubionych zespołów. Delikatnie wyjąłem instrument, uważając żeby nie zrobić przy tym żadnych dodatkowych rys, a następnie zagrałem prosty riff, który ćwiczyłem stanowczo za dużo, będąc nastolatkiem. Co więcej nastolatkiem marzącym o karierze muzycznej. Uśmiechnąłem się sarkastycznie na samo wspomnienie. Kariera muzyczna w Shadow Villens? Witamy w klubie dla naiwniaków.

Gitara była nastrojona do tak zwanego drop C, czyli dosyć nisko. Pamiętam, że niemal 40 lat temu gdy jeszcze graliśmy, używaliśmy właśnie tego stroju.

Żartowaliśmy wtedy, że równamy do poziomemu tego miasta – czyli nisko. Ach te słabe żarciki początkujących kapel garażowych. Niemal się rozczuliłem.

Po zagranieniu kilku muzycznych motywów odłożyłem gitarę z powrotem do futerału, ale byłem pewien, że do niej wrócę. I że będzie to jeszcze w tym tygodniu. Najpierw jednak prysznic i interesy.

Woda o idealnie ustawionej temperaturze i o mocno rozdrobnionej strukturze kropeł powoli obmywała moje ciało. Znajdował się w niej specjalny roztwór, który konserwował moje wszczepy, przez co miała ona dosyć nieprzyjemny, gorzki smak. Byłem jednak do niego już tak przyzwyczajony, że prawie zaczynałem go lubić. Uśmiechnąłem się. Podobnie miałem z tym miastem.

Dotknąłem interfejsu umieszczonego obok matowej armatury i wybrałem szyfrowane połączenie do Røbusta – funkcjonariusza policji, który był moim ulubionym współpracownikiem działającym w organach ścigania. Zanim Røbust odezwał się po trzech sygnałach, aktywowałem funkcję usuwania dźwiękowej tekstury lecącej wody z naszego połączenia.

– Witam w Nowym Roku Gustav – usłyszałem jego donośny i aż nazbyt optymistyczny głos.

– Cześć Røbust – powiedziałem, zastanawiając się, czy policjanci dlatego tak lubią Nowy Rok, bo mają wyzerowane konto na statystyki. Kiedyś się dowiem, jednak na pewno nie będzie to w noworoczny poranek. – Będę się streszczać, bo mam jeszcze dzisiaj trochę pracy – oznajmiłem, odganiając wcześniejsze myśli.

– Jasne, nie ma problemu. W takim razie pominę część z pytaniami o sylwestrową imprezę.

– To dobrze. Niestety pamiętam o wiele za dużo, niż trzeba – odparłem, po czym wybuchnęliśmy śmiechem na kilka sekund.

– Potrzebuję wszystkich danych o stesserze – zacząłem. – Został zgarnięty dzisiaj w metrze na trasie Black Scarlet Lane – Suburbia o 7:01 – w międzyczasie patrzyłem na hologram, który pojawił się przede mną i wskazywał dokładną pozycję stessera i jego trzech ochroniarzy. – O 7:20 przewieziono go na posterunek w pobliżu Columbia Street. W systemie powinien widnieć jako Öscar Scout. Potrzebuję wszystkiego, co wyciągnie z niego policja, najlepiej plik źródłowy z przesłuchania i wszystkie skany biochemiczne.

– Widzę Gustav, że nie próżnujesz nawet w sylwestrowy poranek – roześmiał się Røbust. – Ja dopiero zdążyłem wypić trzecią kawę i powoli szykuję się na czwartą.

– Znasz mnie nie od dzisiaj. Zaczynam wcześnie, kończę późno.

– Albo wcale.

– Albo wcale – powtórzyłem bardziej do siebie, mimowolnie zwiększając temperaturę wody.

– Dobra, zajmę się tym stesserem – ziewnął Røbust. – Ale pliki będą pewnie dopiero jutro nad ranem. A nasza „druga sprawa”? – zapytał, a ja niemal widziałem ten wirtualny apostrof rozpościerający się nad słowami „druga sprawa”.

– Wieczorem i osobiście – odpowiedziałem niemal natychmiast.

– Wieczorem gram mały koncert w klubie „Credits to Doughnuts” Może tam?

– Nadal marzysz o zostaniu gwiazdą rocka? – uśmiechnąłem się ironicznie.

– A powiedz mi Gustav, co nam pozostało w tym mieście oprócz marzeń?

– Głębokie – niemal czułem, jak robię wirtualny błąd ortograficzny.

Røbust westchnął.

– To będziesz? Jakby co zaczynam o 20:00.

– Będę, będę. Nawet zapłacę potrójnie za wejściówkę, ale żądam za to wejścia na backstage i zniżki na barze.

– Wejście jest za darmo, a na wtorkowych koncertach zawsze jest taniej na barze.

– Widzę, że zapowiada się niesamowity koncert – zaśmiałem się. – Wtorek, darmowy wjazd i tanio na barze. Chyba mogę się spodziewać samych miejscowych elit.

– Bardzo zabawne – rzekł poważnie Røbust – Na szczęście już dawno uodporniłem się na twoje docinki.

Obaj się roześmialiśmy.

– W takim razie czekam jutro rano na pliki o stesserze, a my widzimy się wieczorem na koncercie. Trzymaj się Røbust.

– Do zobaczenia Gustav – długi, piskliwy sygnał był znakiem oznaczającym koniec szyfrowanej rozmowy. Na krótką chwilę zwiększyłem siłę strumienia wody z deszczownicy i ucieszyłem się z faktu, że Røbust nie wie, że moja sypialnia wygląda jak salka prób dla bogaczy. Ripostom nie byłoby końca. Czasem przeleci mi jeszcze przez głowę pomysł, by wrócić do muzyki, ale na szczęście jest to tylko niegroźnie mignięcie.

Nie będę kłamał, że nie bez bólu wyłączyłem dopływ wody do prysznica. Zanim wyszedłem z przeszklonej kabiny na podgrzewane kafelki, ustawiłem na interfejsie program szybkiego suszenia wraz z podstawową regeneracją wszczepów. Moje odbicie w lustrze kazało mi poprawić włosy, które zaczesalem do tyłu i potraktowałem je jakimś kosmetykiem, którego etykieta obiecywała nieskazitelny połysk i zwiększoną objętość. Zabawne. Jedynym marzeniem 63 – letnich, nieprzeszczepianych siwych włosów jest po prostu trzymać się głowy. Naprawdę nie mam większych problemów ze starzeniem się, zupełnie odwrotnie niż większość w Shadow Villens. Farbowane włosy, odmłodzona skóra, powiększone to i owo moim zdaniem wcale nie sprawiały, że wyglądało się młodziej. Raczej dziwniej. Zupełnie jak stary budynek z elewacją pomalowaną na bezgustowny kolor. Krótko mówiąc, jeśli wszczep lub operacja nie polepszały statystyk obronnych lub bojowych, wydawały mi się całkowicie zbędne.

Po nudnych obowiązkach higienicznych takich jak mycie zębów czy zakropienie oczu, przeszedłem do sypialni, gdzie przez chwilę wpatrywałem się w ogromne okno, które było skierowane w stronę lasu. Nie wspominałem o tym wcześniej, ale Suburbia jest chyba jedyną dzielnicą, która znajduje się nieopodal zalesionych terenów. Oczywiście nie jest to tanie. Co roku ja oraz reszta mieszkańców Suburbii musi się złożyć na niemały przelew dla burmistrza, by niezliczone ilości drzew nie znalazły się nagle w strefie działek budowlanych. Później pięknie tłumaczy to radzie miasta względami ekologicznymi, mając pewnie w wyobraźni nadchodzący przelew. Masa pieniędzy za ładny widoczek za oknem. Naprawdę nie polecam, ale nadal twierdzę, że warto.

Ostatni raz spojrzałem na wysokie świerki pokryte śniegiem i po tej niedługiej chwili obcowania z przyrodą, otworzyłem drzwi do garderoby i szybko ubrałem się w świeże rzeczy. W przeciwieństwie do sylwestrowej nocy, w moim dzisiejszym stroju dominowała czerń z lekką domieszką fioletu. Idealnie skrojona marynarka nie była tania, ale leżała na mnie jak milion na koncie – to znaczy nie miałem żadnych obiekcji. Całość dopełniłem muszką w pikselowy wzór i butami z neonowymi czubami.

– W takim stroju można rozpocząć pracę w nowym roku – pomyślałem, a następnie wyszedłem z pokoju, zmierzając w stronę piwnicy, gdzie oprócz pracowni Leny znajdował się także garaż mieszczący kilka samochodów. Zamykając drzwi, rzuciłem jeszcze okiem na swoją kolekcję instrumentów powiększoną o gitarę basową. Zawsze tak robię „na szczęście”, chociaż szczerze wątpię, że to działa.

Czarny Cadillac Eldorado z 1959 – ego zamrugał światłami, kiedy zbliżyłem się na odległość jednego metra. Był to jeden z wielu posiadanych przeze mnie samochodów wiekowo zbliżających się do dwustu lat. Sprawiało to, że ich charakterystyczne wzornictwo przykuwało uwagę na ulicach, a szczypta pozerstwa jeszcze nikomu tutaj nie zaszkodziła. Oczywiście strona techniczna tych samochodów została całkowicie przerobiona, dodając na przykład funkcję latania, ale mimo wszystko udawało się zachować oryginalny design.

Rozsiadając się za kierownicą, niemal czułem, jak cofam się do czasów, kiedy wszystko wydawało się prostsze. Nie było wszczepów, tylu korporacji, tyle silikonu i mężczyzn farbujących włosy. Tak, zwłaszcza tych ostatnich. Uśmiechnąłem się. Może dlatego tak lubię stare przedmioty?

– Witam panie Gustavie. Gdzie jedziemy dzisiaj? – odezwał się Creep, kiedy uruchomiłem silnik. Była to sztuczna inteligencja obsługująca mój system operacyjny, procedury obronne oraz oczywiście samochody. Nawet go lubiłem, w końcu sam go napisałem, wzorując go na swojej osobowości, dodając

staroświeckie maniery i lepsze poczucie humoru. Uruchomiłem go z powrotem dosłownie przed chwilą, bo całą noc się aktualizował oraz defragmentował pamięć.

– Tam gdzie zawsze w Nowy Rok – odparłem, wrzucając wsteczny bieg.

– Rozumiem, że ma pan na myśli dżentelmena Sigmunda i przegląd pańskich wszczepów w jego laboratorium.

– Tak Creep. To właśnie nasza noworoczna tradycja i wiem, że nie brzmi to zbyt spektakularnie.

– Brzmi bardzo tradycyjnie – zaśmiał się Creep. – Czy mam wyznaczyć trasę naziemną czy powietrzną? Życzy pan sobie sterowanie ręczne czy automatyczne?

– Pół na pół. Nie czuję się dzisiaj najlepiej, więc raczej nie wytrzymam całej drogi w powietrzu. Co do sterowania – to ręczne. Muszę czymś zająć głowę.

– Odczyt pańskich funkcji życiowych wyraźnie wskazuje, że jest pan odwodniony i brakuje w pańskim organizmie mikroelementów oraz elektrolitów.

– Daj spokój ze wskaźnikami Creep. One nie rozumieją mojego dzisiejszego stanu – uśmiechnąłem się, po czym wyleciałem przez bramę garażową znajdującą się kilka metrów nad moją głową.

Zdanie „naprawdę nie rozumiem ludzi, którzy nie lubią jeździć metrem” należałoby rozszerzyć o stwierdzenie „jeszcze bardziej nie rozumiem ludzi, którzy nie lubią latać samochodem”. Widok Shadow Villens z wysokości kilkudziesięciu metrów wciąż robił na mnie ogromne wrażenie. Nawet w świetle dziennym i z budynkami pokrytymi grubą warstwą śniegu. Oczywiście nie muszę dodawać, że w nocy było tu jeszcze ciekawiej. Z wielu względów.

Przelatując nad kilkoma dzielnicami, zdałem sobie sprawę, jak to miasto zmieniło się od mojego urodzenia. Stopień urbanizacji zwiększył się tak bardzo, że ówczesne przedmieścia zaczynały przypominać bardziej centrum miasta. Wysokie budynki w których znajdowała się niezliczona ilość małych mieszkań, niezmiennie mnie przerażały.

Aktualnie, czyli około 9:00, ulice nie były zbyt mocno zapełnione ludźmi i wbrew pozorom nie było to spowodowane zbyt intensywnym świętowaniem Nowego Roku. Bardziej coś w stylu: „żaden wniosek urlopowy nie został pozytywnie rozpatrzony”. Jeśli w ogóle był rozpatrywany, bo minęły już lata, odkąd 1 stycznia był ustawowo wolny od pracy.

Uśmiechnąłem się. Ludzie w moim wieku pamiętają takie magiczne chwile.

– Creep, znajdź jakieś dogodne miejsce do lądowania. Dalej pojedziemy ulicą – powiedziałem, kiedy znaleźliśmy się nad Dzielnicą Przemysłową. Oczywiście nie była to oficjalna nazwa, jednak przyjęła się na tyle dobrze, że mało kto pamiętał poprzednią. W przeciwieństwie do tych mijanych wcześniej była zdecydowanie

bardziej zaludniona w godzinach porannych – czyt. nie wszyscy mieszkańcy marzyli tutaj o firmowym etacie.

– Na pewno chce pan tu lądować? Proponowałbym Centrum. Według statystyk policyjnych Smuggler District to jedna z najniebezpieczniejszych dzielnic Shadow Villens.

Kolejny raz się uśmiechnąłem.

– Właśnie dlatego chcę tutaj wylądować – Creep nic nie odpowiedział, a po chwili po prawej stronie pojawił się transparentny hologram, który ukazywał uproszczoną mapę z punktem lądowania. Był on oddalony o około 300 metrów. Znacznie zmniejszyłem prędkość oraz wysokość i po kilkunastu sekundach znalazłem się w samym środku Smuggler District, co tak bardzo nie spodobało się Creepowi. Wiedziałem jednak, że dobrze mi to zrobi, bo jedynie poruszanie się w takich miejscach może mnie czegośkolwiek nauczyć. W Centrum mógłbym się co najwyżej napić rozwodnionej latte w towarzystwie mentalnie rozwodnionych pseudo biznesmenów.

Po dość ekwilibrystycznym lądowaniu powoli ruszyłem do przodu, nie mając żadnych szans na większą prędkość. Było to spowodowane ogromną liczbą przechodniów, dla których droga była naturalnym rozszerzeniem chodnika. Ta przypadłość aż za bardzo doskwierała grupce młodych przemytników, którzy sprawiali wrażenie, jakby naoglądali się za dużo mafijnych filmów ostatniego stulecia. Sporo tanich tatuaży, mało włosów na głowie, dużo łańcuchów z podrabianego złota i praktycznie brak uzbrojenia dobrej jakości.

Uruchomiłem zapis informacji pochodzących z mojego skanera, dzięki czemu mogłem później dostosować swoją ofertę broni, nie musząc płacić za to słabemu informatorowi. Bezcenne informacje handlowe dla tych, którzy chcą trochę pobrudzić ręce.

– Creep, włącz czytanie z ruchu warg, a później przepuść to przez jakiś syntezytor – powiedziałem, wpatrując się wciąż w tę samą grupkę mężczyzn, którzy nie pozwalali mi przejechać dalej.

– Panie Gustavie, jeśli miałbym ocenzurować obelgi kierowane w pańską stronę, sens zdania mógłby być niezrozumiały.

– Uroczo – pomyślałem, a następnie wcisnąłem jeden z kilkunastu przycisków znajdujących się po wewnętrznej stronie kierownicy. Niemal natychmiast z dwóch stron mojego Cadillaca wysunęły się dwa działka bojowe, które bardzo pomogły mężczyznom w podjęciu decyzji, aby się rozejść. Kiedy przejeżdżałem obok nich, nie mogłem się powstrzymać, by nie przesłać im gorącego buziaczka. Sądząc po ich reakcji, nie byłaby to łatwa miłość.

Pół kilometra w tej dzielnicy zupełnie wystarczyło, aby mój bank informacji o uzbrojeniu w mieście powiększył się na tyle, że mogłem już spokojnie udać się do Sigmunda.

– Creep, przywróć mnie do ruchu powietrznego – rzekłem, jednocześnie poprawiając się w fotelu.

– Do miejsca docelowego pozostało 7 kilometrów i 334 metry – odparł ze zbytnią dokładnością Creep. – Czy powiadomić pana Sigmunda o zbliżającej się wizycie?

– Bardziej jego lodówkę z piwem – roześmiałem się, ale nie dlatego, że Creep jako sztuczna inteligencja naprawdę mógł powiadomić tę lodówkę. Po prostu już widziałem w wyobraźni schłodzoną, neonową butelkę idealnie leżącą w mojej dłoni.

– Włączysz jeszcze autopilota? Muszę na chwilę przymknąć oczy.

– Oczywiście – odpowiedział, a z głośników popłynął długi fragment muzyki klasycznej.

Specjalnie użyłem stwierdzenia „przymknąć oczy”, a nie na przykład „uciąć sobie drzemkę”, ponieważ podczas pozostałej drogi do Sigmunda, postanowiłem wysłać zaszyfrowaną wiadomość do mojego najlepszego człowieka od transportu broni – Bleescha. A plastyczne ekrany wszczepione w wewnętrzną stronę powiek nadawały się do tego idealnie. Kilka minut zajęło mi napisanie oraz potrójne zaszyfrowanie wiadomości, która mówiła o popołudniowym spotkaniu w lokalu „Retro Dinosaur”. Dokładnie 2 godziny przed koncertem Røbusta. Interesy – impreza – interesy . Oraz oczywiście afterparty w razie sił i możliwości. Moja ulubiona kolejność.

– Szykuje się naprawdę ciekawy wieczór – pomyślałem, jednocześnie otwierając oczy. Zrobiłem to w idealnym momencie. Przede mną rozpościerał się widok, którego głównym elementem była gotycka katedra. Oczywiście była to jej idealna kopia, bo taka nigdy oryginalnie nie powstała w Shadow Villens. Jestem przekonany, że specjaliści od marketingu zapewniali potencjalnych najemców o sprowadzeniu wielu elementów budowlanych z Francji, ale każdy może się domyślić, jak bardzo im wierzę. Mała podpowiedź. Nie bardzo.

Wylądowałem na miejscu parkingowym zarezerwowanym dla klientów Sigmunda, skąd katedra robiła jeszcze większe wrażenie, a wszystkie nowoczesne budynki znajdujące się w pobliżu wyglądały, jakby nie zostały jeszcze odblokowane w grze wideo.

– Creep, włącz uzbrojenie obronne w trybie czuwania – powiedziałem, wychodząc z samochodu. Jaskrawe, migające światło wewnątrz zapewniało, że mój Cadillac jest nie do ruszenia nawet dla najbardziej wytrawnych złodziei w mieście. A trzeba pamiętać, że Centrum oprócz najlepszych samochodów, przyciągało także najlepszych fachowców w dziedzinie handlu ze stuprocentową zniżką. Uśmiechnąłem się. Tania, ale trafna metafora.

Po przebyciu kilkunastu metrów przeszedłem przez ogromne drzwi, które przez znawców architektury (czyt. Sigmunda) zostałyby nazwane portalem. Sigmund tłumaczył mi kiedyś, że katedra jest wzorowana na najwybitniejszych dziełach

francuskiego gotyku klasycznego i kazał zwrócić uwagę na ogromną rozetę znajdująca się w fasadzie. Nie ukrywam, czasem na nią zerknąłem. Jednak zwroty takie jak arkady, empory i triforia przypominały mi o jeszcze bardzo długiej drodze z zakresu edukacji architektonicznej.

Wnętrze katedry było rozświetlone przez promienie wpadające przez ogromne okna, jednak pomimo dużej ilości światła i tak panował tutaj ponury klimat. Nie było żadnych przedmiotów powiązanych z konkretną religią, elementy wyposażenia były całkowicie świeckie, co miało bardzo proste uzasadnienie. W Shadow Villens istniał taki konglomerat narodowości i kultur, że nie pomyliłbym się bardzo, gdybym powiedział, że każdy wierzy tutaj w coś innego. A najbardziej w pieniądze.

Szybko minąłem recepcję, za którą stała sztuczna inteligencja w postaci hologramu. Miała na imię Rava, znała mnie dosyć dobrze jak i moje zamiłowanie do prywatności, dlatego pozdrowiliśmy się tylko dystygnowanym skinieniem głowy. Oczywiście na ile dystygnowane może być skinienie głowy hologramu i zgorzkniałego mężczyzny po sześćdziesiątce. Po chwili byłem już w zachodniej części katedry, gdzie znajdowały się szklane ruchome schody prowadzące w dół. Właśnie tam mieściły się wszystkie wynajmowane biura, pracownie i laboratoria – pod ziemią. Miało to wiele zalet. Zaczynając od względów bezpieczeństwa i prywatności, a kończąc na ogromnej, gotyckiej przestrzeni (w której właśnie się znajdowałem) przeznaczonej do medytacji lub modlitwy.

Po wejściu na pierwszy stopień schodów, te powoli ruszyły, a po kilkunastu sekundach znalazłem się na poziomie „-5”. Natychmiast natrafiłem na trzech roślących strażników z zasłoniętymi twarzami, których oczywiście dokładnie przeskanowałem. Oni odwdzieczyli się tym samym, z tą różnicą, że tylko ja o tym wiedziałem. Nie trwało to długo, po czym „wielbiciele nienaturalnie wielkich bicepsów i kaszek białkowych” pozwolili mi przejść dalej. Krótki korytarz z kilkoma przegrodami doprowadził mnie do przestronnego holu utrzymanego w ascetycznym stylu. Tu pozostało mi już tylko dotknąć interfejsu przy drzwiach, które dzieliły mnie od pracowni Sigmunda. Oczywiście zanim się otworzyły, kolejny raz zostałem przeskanowany. Naprawdę już zaczynałem się gubić, ile części mojego ciała zostało dzisiaj sprawdzonych. I które dokładnie.

W pracowni Sigmunda panował idealny porządek, ale w żadnym wypadku nie można było nazwać tej przestrzeni minimalistyczną. Krótko mówiąc, było tu wszystko. Ogromne ilości elementów i części zamiennych do wszczepów, prototypy broni, amunicji i osłon. Wszystkie były równo rozmieszczone na ścianach i stalowych półkach. W dodatku co chwilę można było się tutaj natknąć na wszelkiego rodzaju przyrządy potrzebne do operacji na żywym organizmie. Bądź do testów na martwym. I mimo że wnętrze liczyło około 300 metrów kwadratowych, to raczej nie dało się tutaj zorganizować piątkowej imprezy dla znajomych z butelką wina w pakiecie. W tym miejscu każdy skrawek powierzchni miał ściśle określoną funkcję.

Przyśpieszyłem kroku i po ominięciu wszystkich przeszkód, zobaczyłem w końcu Sigmunda. Siedział pochylony w swoim ergonomicznym fotelu, był ubrany

w czarny, matowy kombinezon i z niezwykle skupioną miną próbował poskładać coś, co miało znacznie za dużą liczbę elementów. Wiedziałem, że obróci się w moją stronę dopiero wtedy, gdy zbliżę się na odległość około półtora metra. Nie lubił marnować czasu, zwłaszcza na powitanie skacowanego Gustava Draga.

– Witam gwiazdę w nowym roku – powiedział dokładnie w momencie, gdy mechanizm fotela skierował go naprzeciwko mnie. Następnie zeskoczył z niego, zdjął ciemne, lateksowe rękawiczki i mocno uściśnął mi dłoń. – Myślałem, że będziesz później – uśmiechnął się i do uścisku dłoni dodał noworoczne poklepanie po plecach. Chociaż wątpię, że cokolwiek różniło się od standardowego.

– Mam za dużo spraw na wczoraj, żeby pozwolić wylegiwać się swoim promilom w łóżku – odparłem, kierując wzrok na przedmiot, który jeszcze przed chwilą był rozpracowywany przez zwinne palce Sigmunda. Nie przypominał żadnego wszczepu, który widziałbym wcześniej, co oczywiście nie zmartwiło mnie zbytnio. Może to sylwestrowy prezent?

– W tym mieście każdy ma za dużo spraw nie na wczoraj, a na trzy lata do tyłu – roześmiał się Sigmund, jednocześnie zakładając nową parę rękawiczek. – Jesteś gotowy na noworoczny przegląd? – spytał i po chwili wpisał coś na dotykowym interfejsie wbudowanym w fotel, na którym przed chwilą siedział. Ten niemal natychmiast bezgłośnie przesunął się wгłęb pracowni, a na jego miejscu pojawił kolejny, z tą różnicą, że był prawie dwa razy większy i zawierał gniazda, do których można było podłączyć sporą liczbę przyrządów. Tak, to był właśnie fotel przystosowany do operacji wszczepów. Montażu, usuwania, konserwacji, przeglądu i naprawy. Uczucie podobne do oddania samochodu do mechanika. Tyle że w tym przypadku to ty jesteś samochodem. Prawda, że urocze?

– W tym roku nigdy nie byłem bardziej gotowy – odpowiedziałem słabym żartem, wygodnie się rozsiadając. Nie musiałem nawet rozluźniać mięśni, bo po chwili Sigmund zaaplikował mi środek, który znieczulał i zwiotczał większość z nich. Przez dłuższą chwilę wpatrywał się jeszcze w jeden z monitorów, na których wyświetlonych było kilka nic dla mnie nieznaczących wykresów.

– Wiesz, że twoje żyły i mięśnie z każdym rokiem są w coraz gorszym stanie? – rzekł, podając mi zawartość dwóch kolejnych strzykawek. – Musiałem zwiększyć stężenie materiału odbudowującego, a nie pozostanie to bez wpływu na twój metabolizm.

– Po prostu trochę się starzeję – odparłem.

– Zbyt szybko się starzejesz – westchnął Sigmund z zatroskaną miną. – W dodatku masz za dużo wszczepów. Wiesz ile punktów procentowych dzieli cię od przedawkowania?

– Sam mi je przecież montowałeś – próbowałem się roześmiać, ale nie wyszło to zbyt naturalnie.

– Już od trzech lat staram się na to nie zgadzać. I w tym roku naprawdę musimy zrobić przerwę. Przynajmniej na dwa lata.

Przewróciłem oczami.

– To mówiłeś, że ile punktów brakuje mi do przedawkowania?

– Pomiędzy 2,5, a 3 punktów procentowych.

– To dużo czy mało?

Sigmund głośno się roześmiał.

– Gdybym przed wieczornym wyjściem do baru powiedział ci, że masz 2,5 do 3 procent szans na poderwanie dziewczyny to naprawdę chłodziłbyś szampana?

Uśmiechnąłem się.

– Zależy jaki to szampan. Wbrew pozorom nie jestem aż tak wielkim przeciwnikiem picia w pojedynkę.

Sigmund tylko wzruszył ramionami i dał mi znak, żebyśmy już dłużej nie kontynuowali tego tematu. Przystąpiłem na to i przez kilka kolejnych godzin tylko obserwowałem, jak jego dokładne palce z pomocą dziwnie wyglądających przyrządów rozkręcają moje wszczepy, by później znowu złożyć je do pierwotnej postaci. W przeciwieństwie do typowych biomechaników z Shadow Villens, dłonie Sigmunda nie zawierały żadnych wszczepów. Lubił często powtarzać, że „moje ręce to moje ręce” i wydawać by się mogło, że brzmi to nielogicznie, jednak było całkiem odwrotnie. Jego wycucie, wręcz na granicy intuicji pozwalało przeprowadzać zabiegi nieosiągalne dla innych przedstawicieli tego fachu. Dlatego od kilkunastu lat nikt inny nie dotykał moich wszczepów, a ja miałem pewność, że nigdy mnie nie zawiodą.

Dotychczas tak właśnie było.

Zanim poruszyłem temat stessera z metra, przez głowę przeleciało mi kilka nieprzyjemnych myśli na temat przedawkowania, które w większości przypadków kończy się śmiercią. Przy odrobinie szczęścia groziła mi „jedynie” śpiączka. Stwierdziłem jednak, że wolę nie wdawać się w kolejną dyskusję z procentów i prawdopodobieństwa, dlatego powróciłem do porannych wydarzeń.

– Pojawiło się coś dziwnego w mieście – zacząłem sprawę niewykrywalnego wszczepu, na co Sigmund tylko się uśmiechnął, nie przerywając wymiany kilku elementów obronnych okalających moje zębra.

– Słyszę takie słowa każdego roku. W tym mieście co chwilę pojawia się coś dziwnego.

– Tym razem to coś innego, coś poważniejszego – kontynuowałem.

– Akurat dokładnie takie słowa słyszy co druga kobieta w barze – uśmiech Sigmunda zamienił się na chwilę w pełnoprawny i donośny śmiech. Tak. Miał on jeszcze gorsze poczucie humoru ode mnie.

Westchnąłem, a następnie streściłem poranną historię z metra, starając się nie pominąć żadnego istotnego wątku. Było to niezmiernie ważne, bo na pierwszy rzut oka ta sytuacja nie wydaje się być bardzo niepokojąca. Na szczęście Sigmund doskonale zdawał sobie sprawę, że jeśli mój skaner uzbrojenia działający w trybie rzeczywistym nie może wykryć wszczepu, w dodatku w którym ukryta jest broń, to zdecydowanie mamy poważny problem.

– I naprawdę ten wszczep był niewykrywalny przez system podstawowego skanowania? – Od razu dało się zauważyć jego zdenerwowanie. Wiedział, że istnieją specjalne pokrowce na broń, które są trudne do wykrycia, ale cały wszczep?

W dodatku z ukrytą bronią. Sigmund po krótkiej chwili oderwał swoje dłonie od przyrządów i dokładnie przypatrywał się mojej twarzy, jakbym miał zaraz krzyknąć, że to noworoczny żart i moja petycja po Oscara czeka już tylko na ostatni podpis.

– Tak, wszystko sprawdziłem kilka razy. Rejestry i historię skanowania. Nie może być mowy o jakimkolwiek błędzie.

– A kiedy Røbust wyśle ci dokumenty z przesłuchania tego Öscara?

– Jutro rano.

– To dobrze. A czy Røbust jest w stanie... – zaczął nieśmiało Sigmund.

– ... wynieść jakiś element tego wszczepu na zewnątrz – dokończyłem. – Też o tym pomyślałem i mam zamiar spytać go o to dzisiaj wieczorem.

– Widzicie się dzisiaj?

– Tak, idę na jego koncert – gdyby większość moich mięśni nie była zwiotczała, zapewne udałbym, że gram na wirtualnej gitarze solówkę życia.

– Przekaż mu moje pozdrowienia. Dawno go nie widziałem – twarz Sigmunda rozpoznała się, jednak nie trwało to zbyt długo. Tylko na chwilę zapomniał o sprawie stessera. – Skoro widzisz się z Røbustem, nasze jutrzejsze spotkanie odnośnie nowej amunicji jest wciąż aktualne?

Westchnąłem.

– Mam nadzieję. To zależy, jak potoczy się dalsza część wieczoru.

Sigmund wbrew pozorom wcale się nie roześmiał, bo doskonale wiedział, że nie mam w planach pić neonowych drinków do 5 rano.

– Czasami mam wrażenie, że zlecenia od niego są twoim ulubionym zajęciem w tym mieście. – Dłonie Sigmunda znowu wróciły do moich wszczepów, ale na szczęście była to już końcowa faza przeglądu. – I w sumie nawet mnie to cieszy – dodał, dokręcając przysłowiową „ostatnia śrubkę”, jeśli śrubką można nazwać biochemiczną płytkę imitującą ludzką skórę.

– Zawsze mi mówisz, że nie pochwalasz tych zleceń – odparłem, lekko się uśmiechając, jednocześnie czując, jak mój system nerwowy powoli wraca do życia.

– To że ich nie pochwalam, wcale nie znaczy, że ich nie lubię – Sigmund odsunął się na fotelu i zaczął wprowadzać dane do raportu przeglądu, a ja wiedziałem jakiego tekstu użyję, mówiąc Lenie, co sędzę o jej działalności na scenie graffiti. „To że tego nie pochwalam, wcale nie znaczy, że tego nie lubię”. Gustav Drag – najdziwniejszy ojciec w całym mieście. Proszę ustawiać się w kolejce po autografy. Tak, tak. Panie, które uważają mnie za przystojnego oczywiście przodem. Można rozpychać się łokciami. I nie tylko.

Zaciskając rytmicznie dłoń, by zwiększyć w niej obieg krwi, zacząłem zastanawiać się nad słowami, które powiedział Sigmund.

– „Zbyt szybko się starzejesz” – pobrzmiwało to w mojej głowie i bardzo niechętnie chciało ją opuścić. Już od jakiegoś czasu czułem, że z moim organizmem jest coś nie tak. Powroty z Sieci były coraz cięższe. Nie wytrzymywałem tam tak długo jak kiedyś, kiedy całodobowe sesje były dla mnie zupełnie naturalne. Również reakcje podczas walki straciły swoją szybkość. Na szczęście na razie udawało mi się

to maskować doświadczeniem, jednak to tylko kwestia czasu, zanim jakiś młodziak pokaże mi pięścią neonowy napis zatytułowany – „emerytura”.

– To jakieś noworoczne piwo? – zapytałem, czując, że moje mięśnie powróciły do względnej użyteczności.

– Już się bałem, że nie zapytasz – Sigmund uśmiechnął się szeroko, jednocześnie zdejmując rękawiczki. Następnie podszedł do sprytnie ukrytej lodówki i wyjął stamtąd dwie butelki. Zamiast etykietek miały holograficzny interfejs, który pozwalał na dostosowanie temperatury, zawartości alkoholu oraz kilku opcji, które były zrozumiałe jedynie dla wprawnych piwowarów. Mi wystarczyła jedynie temperatura 11 stopni Celsjusza, 20 gram alkoholu oraz gorzki posmak chmielu.

Przez kilka minut sączyliśmy piwa w milczeniu, jak przystało na starych znajomych, którzy znają się już tak dobrze, że nie muszą przeszkadzać sobie w początkowych łykach złotego trunku. Kiedy dotarliśmy do połowy zawartości, Sigmund zaproponował mi papierosa. Była to jednak tylko namiastka będąca parą wodną ze sporą zawartością nikotyny. Oczywiście odmówiłem. Sam nie mogłem wyjąć papierosów starego typu, bo kilkanaście czujek rozsianych po całym laboratorium byłoby przekonane, że rozpętałem tutaj pożar stulecia.

– A co u Bleescha? Widzisz się z nim w tym tym tygodniu? – zapytał Sigmund, zerując kilka sekund wcześniej swoją butelkę.

– Nie dalej jak dzisiaj. Przed koncertem Røbusta – uśmiechnąłem się.

– Pozdrów ich. To znaczy tylko naszego rockmana. Do Bleescha sam muszę w końcu zadzwonić i umówić się na testowanie nowej wersji hologramu.

– Pomoże nam lepiej ukrywać cargo podczas przemytu?

– Powiem ci jak inżynier w korporacji – „taką mam cholera nadzieję, bo od tego zależy moja premia”.

– A ja powinienem teraz powiedzieć jak stereotypowy szef tej samej korporacji – „przecież chyba płacę ci wystarczająco”. Ale już wiem, co mi odpowiesz.

– W Shadow Villens nikt nikomu nie płaci wystarczająco – niemal krzyknęliśmy jednocześnie.

– Dlatego zrobimy te testy w najbliższym czasie. Bleesch będzie musiał się tutaj pofatygować – podsumował Sigmund. – Ku chwale premii i większych ładunków.

Po tych słowach Sigmund wyjął kolejne dwie butelki. Wypiliśmy je w całkowitej ciszy, słuchając przerywanych odgłosów przyrządów znajdujących się w laboratorium. Sprawiały wrażenie idealnie połączonego ekosystemu, którego celem było trzymanie mnie przy życiu oraz tworzenie najlepszego uzbrojenia. Tak. Sigmund był moim lekarzem pierwszego kontaktu, a w dodatku zapewniał najlepsze zabawki w mieście. Chyba mogłem go też nazwać swoim przyjacielem, bo nikt nie wiedział o mnie tyle, co on. I nadal mnie lubił. Albo dobrze udawał.

– Muszę już iść – powiedziałem, powoli wstając. Moje nogi mimo że przypominały już sobie o czymś takim jak mięśnie, sprawiały wrażenie zbudowanych z waty. Na pełne pozbycie się środka zwiotczającego z organizmu potrzebowałem około godziny. Jednak dzisiaj nie mogłem sobie pozwolić na tyle czasu.

- Nie chcesz zregenerować się w komorze tlenowej? – zdziwił się Sigmund.
- Mam kilka nowych albumów lokalnych kapel.
- Widzę, że lubisz tam torturować ludzi – roześmiałem się. – „Lokalne zespoły rockowe”. Brzmi jak tytuł jakiegoś horroru.
- Ja tam niektóre lubię. Zwłaszcza gdy mają dziewczynę na basie.
- Widzę, że najważniejsza zawsze jest muzyka – niemal przeliterowałem ostatnie słowo.
- Niektórzy tak mówią. Ja uważam, że najważniejszy jest marketing – Sigmund głośno się roześmiał.
- Jak wszędzie – westchnąłem. – Dziękuję za propozycję dodatkowej regeneracji, ale zanim spotkam się z Bleeschem, muszę jeszcze załatwić jedną sprawę z Kamperem.
- Pracowity 1 stycznia. Jesteś jak nadgorliwy urzędnik.
- Uśmiechnąłem się.
- Jestem znacznie gorszy.
- W takim razie zapraszam jutro – Sigmund wstał i zaczął odprowadzać mnie w stronę wyjścia. – Jeśli oczywiście będziesz w stanie – dodał, otwierając drzwi.
- Nic nie odpowiedziałem, tylko skwitowałem to szerokim uśmiechem.

Holograficzna Rava znowu się do mnie nie odezwała, tylko odprowadziła mnie wzrokiem, kiedy przechodziłem przez główną nawę katedry. Tym razem było tu kilka osób. Nie wyglądali zbyt dobrze i wydawali się dziękować sile wyższej, że po ostatniej nocy ich wątroby nie potrzebują wymiany. Dobrze, że moja była syntetyczna i sprawowała się całkiem nieźle od trzech lat. Tak. To mój najbardziej trafiony prezent na sześćdziesiątkę.

Kiedy znalazłem się na zewnątrz, zdałem sobie sprawę, że ilość śniegu potroiła się od mojego przyjazdu. Cadillac – czytaj Creep – był pokryty taką ilością białego puchu, że rozpoznałem go tylko po czerwonym oświetleniu, które poruszało się niczym radar wokół nadwozia. Miało to na celu odstraszenie złodziei, ale jak widać, przydawało się też w lokalizacji.

Przetarłem szybę, a następnie przyłożyłem do niej swoją dłoń, co spowodowało rozbrojenie systemu bojowego. Tak. W Shadow Villens nawet wsiadanie do własnego samochodu wiąże się z niemałymi emocjami.

– Witam panie Gustavie – rzekł Creep, po tym jak znalazłem się w środku. – Wykrywam stężenie alkoholu na poziomie 0,64 promila. Zalecam jazdę wyłącznie przy użyciu autopilota.

– Oczywiście – odparłem. – Gdzież bym śmiał narażać swoje życie. Już mi wystarczy nielegalny handel bronią.

– Bardzo się cieszę. W takim razie gdzie pana teraz dostarczyć? – Creep chyba nie załapał mojego żartu.

– Do „Retro Dinosaur”.

– W takim razie proszę zapiąć pasy i delektować się widokami – zakomunikował, po czym wzbiliśmy się w powietrze.

– Gustav, staruszk. Wszystkiego najlepszego z okazji urodzin – krzyknął do mnie mężczyzna o wyglądzie przerośniętego Świętego Mikołaja, kiedy przekroczyłem próg lokalu „Retro Dinosaur”. Nazywał się Kamper i był tutaj właścicielem, barmanem i sprzedawcą. Typowa jednoosobowa działalność gospodarcza. Nie licząc pozostałych barmanów i kelnerów zatrudnionych na czarno.

– Z tej okazji kolejka dla wszystkich. Za zdrowie Gustava – dodał po chwili, ściągając z półki sporą butelkę whisky.

– Też mi poświęcenie – mruknąłem do siebie. W lokalu znajdowały się może trzy osoby. Muszę jednak przyznać, że komunikat Kampera wzbudził na ich twarzach najszczerzą radość. Przedłużenie sylwestrowej imprezy wydawało się być dokładnie tym, czego teraz potrzebowali.

Rozejrzałem się po wnętrzu. Był to loft urządzone w surowym, ascetycznym stylu. Dominował tutaj niewykończony beton oraz solidne, mahoniowe drewno. We wszystko było wkomponowane oświetlenie, które miało możliwość zmiany barwy na dowolną, co często było wykorzystywane podczas nocnych imprez. Wszystko zaprojektowano w myśl zasady: „im prostsze, tym trudniej to zniszczyć”. W nocnych lokalach ciężko o lepszą filozofię architektury wnętrz, gdzie bójka jest na porządku dziennym. To znaczy nocnym.

Na samym środku sporej sali znajdował się bar, do którego można było podejść z czterech stron. To chyba opus magnum barowej filozofii projektowania. Aktualnie zasiadał tam Kamper i jego pracownica Cara.

– Dzisiaj tylko piwo – powiedziałem, opierając się o blat, który obsługiwał Kamper. – W dodatku dobre, a nie złote szczyzny z dna zbiornika.

– Co ty taki naburmuszony Gustav? Jakie piwo? Nikt tutaj jeszcze nie umarł od lufy pierwszoligowej łychy. A uwierz mi – Kamper pomachał butelką kilka centymetrów od mojej twarzy. – Jest to pierwszoligowy towar. Pierwszoligowy...

– Nadużywasz tego słowa – roześmiałem się. – A ta butelka nie łapie się nawet do okrągówki – dodałem, odsuwając szklankę, wcześniej skanując jej zawartość. Natychmiast przejął ją jeden z zaginionych uczestników sylwestrowej imprezy, pochłaniając ją jednym haustem. Przez chwilę oczekiwał na magiczną dolewkę, jednak Kamper kazał mu odejść niewyszukanym, ale bardzo zrozumiałym ruchem ręki.

– Zawsze zapominam, że w ciągu dnia przesiadują tutaj ludzie, którzy nie mają już żadnych pieniędzy – westchnął, nalewając po kolejce dwóm pozostałym biesiadnikom.

– Zaczynam żałować, że pamiętasz, kiedy mam urodziny – roześmiałem się. – Ale ty chyba też nie jesteś zadowolony – dodałem, patrząc na mocno opróżnioną butelkę whisky.

– A niech mają – prychnął Kamper, a następnie rzucił flaszkę w stronę stolika. Nie wiem jakim cudem, ale jeden z gości złapał ją kilka milisekund przed roztrzaskaniem. Uśmiechnąłem się. Ludzie z kilkoma promilami we krwi naprawdę mają ukryte supermoce.

– To co cię Gustav sprowadza już na samym początku Nowego Roku?

– Postanowienie noworoczne. „Codziennie uczęszczaj do miejsc, w których właściciel uwielbia fastfoody i staraj się namówić go na siłownię”.

Kamper głośno zarechotał, chwytając się za swój wydatny brzuch.

– Mięsień piwny ćwiczony siedem dni w tygodniu. Nigdy nie opuszczam treningów.

– Nie uwierzysz, ale ci... wierzę.

– Dobra, dobra – Kamper machnął ręką, a następnie wyjął spod lady niedojedzonego cheeseburgera – Kto nigdy nie zagubił się w burgerowni, niech pierwszy rzuci okruczem – oznajmił, biorąc sporego kęsa.

– Zapiszę to w pamiętniczku.

– Zapisz, zapisz – Kamper mówił niewyraźnie, pochłaniając kolejne części niedopieczonej bułki z niedosmażonym kotлетem. Okruszki o których wcześniej wspominał, lądowały na jego brodzie i pewnie zadamawiały się tam na przyszły tydzień.

– W ogóle może odgrzać ci jednego burgerka? Mam kilka na zapleczu.

– Obędzie się.

– Jak wolisz – wymamrotał ze zdziwioną miną. – Ale dobra Gustav, powiedz mi lepiej, co cię tak naprawdę sprowadza. Nie przychodziłbyś tutaj bez jakiegoś większego powodu. Znam cię nie od dzisiaj.

– Umówiłem się tutaj z Bleeschem za 30 minut, ale wcześniej chciałbym kupić od ciebie kilka rzeczy.

Kamper zmarszczył czoło.

– Kupić dzisiaj? Dopiero dwie godziny temu przyszła dostawa. Jest jeszcze ciepła, czyli stara i zakurzona.

– Właśnie dlatego chcę obejrzeć towar wcześniej, żeby nie przepychać się z innymi. Chyba mógłbyś zorganizować małą prezentację dla stałego klienta.

Kamper przeklął coś pod nosem, ale w końcu machnął ręką, na znak, że się zgadza.

– Dobra, już dobra. Ale dzisiaj tylko rezerwacje. Żadnego dowożenia paczek na drugi koniec miasta, czyli tego twojego fensi domku na przedmieściach.

– Ma się rozumieć – odparłem, idąc już za właścicielem Retro Dinosaur, który zmierzał w stronę zaplecza. Kilka sekund wcześniej poprosił Carę, by sama stanęła

za barem. Wiedział, że na razie nie będzie miała dużo pracy, bo dopiero za kilka godzin zaczną się tu schodzić ludzie, a lokal będzie pękać w szwach i oparach alkoholu.

Wspominałem też wcześniej o pracownikach zatrudnionych tutaj na czarno. Nie chciałem, żeby zostało to źle zrozumiane, ale Kamper tak naprawdę ratował tych ludzi. Nikt inny by ich nie zatrudnił, bo wszyscy byli po wyrokach, często w stanie recydywy. Kamper dzielił się z nimi niepłaconym podatkiem, dzięki czemu zarabiali więcej, a co roku musiał tylko odpalić łapówkę jakiemuś ważniakowi z urzędu skarbowego. Dzięki temu jego pracownicy byli niesłychanie lojalni, bo tylko on wyciągnął do nich pomocną dłoń, a za połowę nieopłaconego podatku mogli wykupić sobie podstawową opiekę zdrowotną. Jeszcze z tym swoim wyglądem na Świętego Mikołaja z mnóstwem nałogów sprawiał, że chyba nikt w dwunastoletniej historii istnienia Retro Dinosaur go nie oszukał. Przykładowo Cara była wychowanką domu dziecka, chociaż było to spore nadużycie, bo przebywała tam niecałe półtora roku, zanim uciekła. Później jej kartoteka zapełniała się w tempie wykładowym. Napady z bronią w ręku, kradzieże oraz pobicia. Kiedy sięgnęła już dna, które w Shadow Villens jest naprawdę dosyć nieprzyjemne i mało tam widać, Kamper zaproponował jej pracę. Trudno mi w to uwierzyć, ale od pięciu lat jej policyjny profil nie odnotował żadnego, nowego wykroczenia. Mogę się założyć, że większość policjantów jest przekonana, że Cara już dawno nie żyje.

– Pamiętasz, że płatność z góry? – wyrwał mnie z zamyślenia Kamper, kiedy schodziliśmy na dolny poziom. Była to esencja Retro Dinosaur, a mianowicie ekskluzywny sklep ze starymi przedmiotami, których średnia wieku wynosiła 100 – 150 lat. Oczywiście zdarzały się tu także znacznie starsze eksponaty. Ale też odpowiednio droższe.

– Zawsze płacę z góry – odparłem.

– Twój błąd – roześmiał się Kamper, kiedy znaleźliśmy się w głównej sali wystawowej. Nie była jeszcze przygotowana na przyjęcie klientów. Większość towaru była na podłodze przykryta pokrowcami i czekała na odpowiednie ustawienie ich na półkach i stołach. Visual merchandising wciąż wypatrywał tutaj swoich lepszych dni.

– Mam kilka rzeczy, które mogą cię zainteresować – rzekł Kamper, zatrzymując się przy dużej skrzyni. Uniosłem brwi w geście zainteresowania. – Wszystkie konsole do gier, które wyszły pomiędzy 1994 a 2020 rokiem.

Zmarszczyłem czoło.

– Jest tego trochę w Shadow Villens.

Mężczyzna szeroko się uśmiechnął.

– Wątpię, że są to zafoliowane egzemplarze.

Tym razem ja się uśmiechnąłem.

– Lepsze niż mint condition. Gratuluję i zazdroszczę.

– Dasz wiarę Gustav? Ktoś to trzymał nierozpakowane gdzieś na strychu przez 155 lat.

– Wiem, co to znaczy zafoliowane.

– Bierzesz?

– Oczywiście. Tylko się zastanawiam, czy potraktować tego jako inwestycję, czy trochę nie pograć.

– Kochasz retro jeszcze bardziej niż ja.

Uśmiechnąłem się.

– Jest pomiędzy nami taka drobna różnica. Ty robisz na tym pieniądze, a ja je wydaję.

– Oj nie przesadzaj – westchnął Kamper. – Po prostu inwestujesz. Zazwyczaj i tak na tym zarabiasz.

– Zazwyczaj – powtórzyłem cicho pod nosem.

– Ale to też może cię zainteresować – Kamper podszedł do kolejnej skrzyni, po czym przejechał palcem po wbudowanym w nią dotykowym ekranie. – Cała baryłka whisky z 1983 roku. Wiem – westchnął. – Kosztuje fortunę.

– Mam nadzieję, że podobnie smakuje – odparłem, czytając informacje o kraju pochodzenia, składzie oraz sposobie dojrzewania.

– Na spokojnie się zastanów. Nie nalegam. Ale naprawdę polecam.

Cały Kamper. Mistrz handlu i podjadania w nocy.

– Dobra, zdecydowane. To whisky również chętnie kupię – zakomunikowałem po chwili namysłu. – Ale chciałbym cię spytać o jeszcze jedną rzecz – dodałem nieśmiało.

– Byleby to nie była prośba o prywatny taniec w piwnicy – właściciel lokalu zarechotał, ostentacyjnie łapiąc się za swój brzuch.

– Jestem majętny, ale nie na tyle – powiedziałem, jednocześnie wyjmując z wewnętrznej kieszeni kurtki kawałek folii. Był to ekran, ale żeby coś na nim zobaczyć, trzeba było posiadać zaszyfrowany klucz. Zapobiegało to przechwyceniu informacji przez osoby postronne albo rejestracji przez miejski monitoring. Podałem Kamperowi folię, a następnie przesłałem mu kod dekryptujący, który natychmiast zainstalował się w module jego siatkówki.

– Dostałem te zdjęcia dokładnie trzy dni temu – oznajmiłem, cały czas patrząc na Kampera i starając się się wybadać jego reakcję.

– Kto ci to wysłał? – spytał wyraźnie poddenerwowany.

– Nie wiem.

– Ty nie wiesz?

– Naprawdę. Nie jestem w stanie nic namierzyć. Spędziłem pół nocy, śledząc pochodzenie tej wiadomości, aż w końcu trafiłem do pirackiej sieci na Tajwanie.

– Ktoś naprawdę zna się na robocie.

– Ale rozpoznajesz ten przedmiot na zdjęciach?

– Słyszałem o tym.

– Myślisz, że to fejk? Podobno nie istnieje żaden egzemplarz od jakichś 50 lat.

– Podobno – powiedział cicho Kamper, gładząc się po brodzie. – Mówią, że stworzono trzy, ale wszystkie zostały zniszczone. Krążą miejskie legendy, że jeden przetrwał. To znaczy inaczej – zrobił krótką pauzę. – Nie ma dowodów, że jeden został zniszczony.

– Jakich dowodów?

– Też nie wiem do końca. Powtarzam ci, co mówią przy barze w godzinach porannych. Chyba nie jesteś świadomy, jakie bzdury wygadują kolesie, którzy dobijają do górnej granicy promili. Naprawdę trochę się tego nasłuchiwałem.

Przewróciłem oczami.

– Nie ty jeden – roześmiałem się. – Czyli chcesz powiedzieć, że broń która pozwala wymazać czyjąś świadomość z ciała, by później przenieść do niego własną, istnieje naprawdę?

Kamper znowu głęboko westchnął.

– To właśnie chcę powiedzieć – zrobił krótką pauzę, by wyjąć papierosa. Po chwili się rozmyślił i schował go z powrotem do paczki– A nadawca załączył jakąś wiadomość do zdjęć?

– Tak. Chce się spotkać.

– Kiedy?

– Jutro – odparłem. – Mam być sam i nieuzbrojony.

– Wspaniale – rzekł Kamper, dodając na końcu kilka mocnych przekleństw. – Chcesz się tam wybrać?

– Zastanawiam się.

– Boisz się, że to pułapka?

– Zakładam, że to pułapka – roześmiałem się.

– A pokazywałeś to ustrojstwo Sigmundowi?

– Na razie nie. Ma masę innych rzeczy do roboty. Pogadam z nim o tym dopiero po spotkaniu z nadawcą wiadomości.

– Potrzebujesz obstawy? – głos właściciela Retro Dinosaur był poważny i stanowczy. Mimo że jego wygląd temu przeczył, w bezpośrednich starciach był naprawdę trudnym przeciwnikiem. I doskonale znał się na hakowaniu systemów.

– Dam radę sam.

– Nawet jak będą mieli przewagę liczebną?

– Umiem dobrze rozplýwać się w powietrzu.

Kamper głośno się roześmiał.

– To akurat najlepiej wychodzi ci na imprezach.

Uśmiechnąłem się, a następnie jeszcze raz spojrzałem na zdjęcie wyświetlane na kawałku folii. Słowa „przedmiot” oraz „broń”, którego użyliśmy, były dużym niedopowiedzeniem. Całość składała się z wielu modułów zajmujących spory pokój. Dwa fotele z ogromną ilością przewodów, złącz oraz wtyczek, które były zsynchronizowane z ogromnym interfejsem sterującym. Nawet nie chciałem wiedzieć, ile ludzi jest w stanie zapłacić za to nieskończoną ilość pieniędzy. W dzisiejszych czasach, kiedy można znacznie przedłużać długość swojego życia, dobijając do 150 lub nawet 200 lat w całkiem niezłej formie, nadal nie udało się nikomu stworzyć tak dobrej kopii ludzkiego ciała, żeby przenieść tam ludzki umysł. Mogliśmy polegać tylko na wszczepach i implantach, które były bardzo obciążające dla organizmu. Dlatego urządzenie ze zdjęcia, jeśli naprawdę istniało, było tyle warte. Nie tylko przeniesienie swojej świadomości do młodego ciała brzmiało

kuszaco, ale równie ważna była możliwość zerwania ze swoją przeszłością. Jeśli masz ponad 100 lat na karku, dawne czasy lubią o sobie przypominać. Zwłaszcza kiedy ściga cię policja lub jakaś mafijna organizacja. Albo oni wszyscy jednocześnie.

– To czego ode mnie oczekujesz Gustav? – spytał wyraźnie poirytowany Kamper. – Nie chcesz mojej pomocy, nie mogę ci na 100 procent potwierdzić, że to cholerstwo istnieje, bo znam je tylko z plotek.

– To że całkowicie nie wykluczyłeś jego istnienia, już mi wystarczy, żeby zainteresować się tematem.

– Jak w coś się wpakujesz Gustav, będę ostatnim, który będzie ratował ci dupsko.

– Skończy się jak zawsze. Ostatni będą pierwszymi – poklepałem Kampera po plecach. Ten pokręcił tylko głową i wzruszył ramionami.

– Jak wolisz. Ale zanim pójdziesz na to spotkanie, chociaż wyślij mi i Røbustowi kody dostępu, żebyśmy mogli śledzić twoje położenie.

– Nie jestem siedemnastolatka, która wraca z pierwszej imprezy na mieście.

– Po pierwsze. Jesteś znacznie gorszy. Po drugie. Nie wkurzaj mnie. Po trzecie. Jeszcze nie dostałem przelewu za konsole i whisky.

– Zaraz będziesz mieć pieniądze na koncie – odparłem, a w tym samym momencie dostałem wiadomość od Bleescha, że czeka na górze od pięciu minut.

Bleesch miał czarno – żółte włosy zaczesane do tyłu, nienaturalnie niebieskie oczy, wszystkie zęby były zastąpione neonowymi implantami, a całość dopełniała śniada karnacja. Jego standardowy ubiór to czarna, skórzana kurtka z ogromną liczbą iluminujących światełek i koszulka piłkarska miejscowego klubu Shadow Villens Crabs. Podobno posiada ogromną kolekcję.

– Masz papierosa? – spytałem, dosiadając się do stolika. Bleesch sączył piwo, w którym proporcje płyn – pianka zdecydowanie wypadały na korzyść pianki.

– Jasne – odparł bez zastanowienia, podając mi matowy kawałek plastiku odpowiadający wymiarom papierosowi.

– Nie masz zwykłych? To znaczy retro – westchnąłem i obróciłem plastik pomiędzy palcami, zupełnie jakby była to miniaturowa pałka od perkusji.

– Ostatnio nie. Stary, wiesz ile to kosztuje? Ci kolekcjonerzy całkowicie oszaleli. Masakra stary.

– Nadużywasz słowa „stary” – roześmiałem się. – Wiem, że mam dzisiaj urodziny, ale nie musisz mi o tym przypominać.

– Stary, przepraszam i wszystkiego najlepszego. – Bleesch potrząsnął głową, jakby chciał zrobić szybki reset własnego umysłu. – To znaczy Gustav. Naprawdę cię przepraszam. Nic nie spałem. Całą noc byłem na imprezie. Ktoś mnie poczęstował jakimiś prochami w kiblu, aż się dziwię, że dałem radę tu trafić.

– Mogłeś dać mi znać, przełożylibyśmy spotkanie na jutro – odparłem z nieudawanym zrozumieniem.

– Spoko Gustav, nie ma co się nade mną rozczulać. Jak mam być, to zawsze jestem. Przecież jeszcze nigdy cię nie zawiodłem. Zgadza się?

– Zgadza się – potwierdziłem, po czym wyciągnąłem z marynarki zafoliowaną paczkę tytoniowych papierosów i położyłem obok ręki zaskoczonego Bleescha.

– Prezent od firmy z okazji Nowego Roku.

– Stary, nie trzeba. Przecież to ja powinienem ci coś sprezentować.

– W twoim aktualnym stanie trochę się boję prezentów od ciebie.

Bleesch przez chwilę zastanawiał się, czy na pewno przyjąć podarunek, jednak teraz był słabym przeciwnikiem dla swoich nałogów. Głęboko westchnął i po chwili schował papierosy do kieszeni, wcześniej wyjmując 2 sztuki. Jednego papierosa włożył sobie za ucho, a drugiego przesunął w moją stronę.

– Podatek od wzbogacenia – roześmiał się.

– Urząd skarbowy przyjmuje wpłatę – powiedziałem, również wsuwając fajkę za małżowinę.

– Ej kopciuchy – krzyknął nagle zza baru Kamper. – Tu się nie pali. Bo będzie wyjazd z imprezy.

– Dobrze tato – zakomunikował Bleesch, unosząc rękę. Warto zaznaczyć, że nie byli spokrewnieni w najmniejszym stopniu. Bleesch rozejrzał się jeszcze dookoła, natrafiając tylko na trzy osoby, które nadal sęczyły whisky od Kampera. – Faktycznie niezła tutaj impreza – zadrwił.

– To jak wygląda sytuacja z Lizboną? – spytałem, włączając moduł szyfrujący naszą rozmowę.

– Jak zawsze. Same problemy ze szczyptą kłopotów – uśmiechnął się Bleesch, eksponując swoje neonowe uzębienie. – Ciągłe zastanawiam się, jak przetransportować ładunek przez ocean. Droga wodna czy powietrzna. Każda ma swoje plusy, ale...

– Również dużo minusów – wtrąciłem.

– Właśnie. Wodna na pierwszy rzut oka wydaje się bezpieczniejsza, bo straż przybrzeżna to nie takie bystrzaki jak ci szaleńcy z myśliwców. W dodatku można ich łatwiej przekupić w razie wpadki.

– Po twoim tonie głosu wnioskuję, że będziesz chciał mnie i tak przekonać na drogę powietrzną.

Bleesch przymknął jedno oko i skrzywił usta.

– Znasz mnie. Wolę latać, niż pływać.

– Powinni ten tekst oprawić i powiesić nad każdym wejściem do szkoły. Brzmi jak pierwszorzędny coaching – powiedziałem z uśmiechem, ale wiedziałem, że Bleesch miał rację. Był doskonałym pilotem. W końcu kilka lat służył w wojsku i latał największymi szrotami, zanim jego dowódcy zauważyli, że naprawdę ma talent. Naturalnie umiał pokierować też statkiem, ale nauczył się tego fachu – jakby to powiedzieć, żeby ładnie brzmiało – w czasie wolnym.

– Oczywiście Gustav, żeby było jasne... – Bleesch zrobił krótką pauzę, żeby wyzerować swój kufel ze złotą zawartością. – Decyzja należy do ciebie. Nie będę ci się wpieprzać.

– Ten tekst też powinni dać w ramkę... W każdej firmie – odparłem, a następnie to ja na chwilę zamilkłem. – Możesz zrobić to samolotem – podsumowałem. – Niech tym razem ktoś inny dostanie choroby morskiej.

Przemytnik próbował ukryć swoją radość, ale nie wyszło to za dobrze, bo niemal natychmiast zamówił kolejne piwo.

– Pozostała jeszcze kwestia zespołu – zaczął, jednocześnie obserwując Care, która była już zajęta napełnianiem sporego kufla. Tak. W Retro Dinosaur procedury działały jak w pierwszorzędnej korporacji. Zwłaszcza te dotyczące imprezowego nastroju swoich klientów.

– Pewnie potrzebujesz więcej ludzi niż zwykle.

– Niestety. Po pierwsze nie robiłem nigdy przerzutu z Portugalii. Rozmawiałem wczoraj ze swoim starym znajomym, do niedawna jeszcze robił w branży, teraz weźmie jakąś fuchę od wielkiego dzwonu i najbardziej narzekał właśnie na Portugalię. Celnicy, wojsko i psy podobno się tam zbyt nie pieszczą z tematem. Kulkę można wyłapać za darmo, a jak dobrze wiesz, ja będę tam na dużym kredycie zaufania dla legalnego pobytu.

– W porządku. Jak zorganizujesz ludzi, wyślij mi tylko wiadomość o wysokości przelewu.

Bleesch znowu mrugnął jednym okiem lub wydawało mi się, że to zrobił. Albo to tiki po prochach z sylwestrowej nocy.

– Wszyscy są już zorganizowani i czekają tylko znak, że zaczynamy.

– Moja poprzednia odpowiedź nadal pasuje.

– Dzisiaj wyślę info, ile dokładnie kasy tam wyszło.

– Świetnie. To samo odnosi się do sprzętu i samolotu. Podlicz koszty z lekką nadwyżką, jeszcze dzisiaj to ureguluję.

Bleesch wyciągnął papierosa zza ucha i na kilka sekund włożył go do ust, jednak zakaz palenia sponsorowany przez Kampera skutecznie odebrał mu chęć jarania. Jego zdjęcie powinno wisieć w ośrodkach terapeutycznych. Bałbym się nawet spojrzeć na paczkę fajek.

– Info o miejscu załadunku jak zawsze dopiero kiedy wyląduję? – Bleesch znowu odłożył papierosa za ucho.

– Tak. Jedyne co teraz potrzebujesz wiedzieć to dwie rzeczy. Lizbona oraz 23 stycznia. Tak jak wspominałem tydzień temu, ładunek będzie ważyć około 20 ton, model 3d rozłożenia towaru na paletach masz już wgrany do chmury, więc dobierz tylko odpowiednią maszynę.

– Nielegalna wypożyczalnia samolotów to naprawdę nie jest supermarket. – Bleesch zmarszczył czoło. – Ale dobra, myślę, że coś znajdę.

– A od kiedy planujesz być w Lizbonie?

– Wylatuję wieczorem 8 stycznia. Prawie 2 tygodnie na miejscu powinny wystarczyć, żeby wszystko dograć.

Uśmiechnąłem się. Wiedziałem, że Bleesch mnie nie zawiedzie. Zrobiłem z nim już kilkanaście przerzutów i nigdy nie stracił zimnej krwi, mimo że niektóre sytuacje były gorące jak wódka w tanich barach Shadow Villens. Klasycznie nie spytał o rodzaj przemycanego towaru. Uważał, że przynosi to pecha, a w razie zatrzymania naprawdę nie miał pojęcia, co przewozi.

Miałem już wypowiedzieć sławne ostatnie słowa w stylu „będziemy w kontakcie”, kiedy dosiadł się do nas Kamper, trzymając w rękach trzy duże kufle piwa.

– Nie mogę już na was patrzeć, jak się tu męczycie – powiedział, podsuwając nam szkło pod same nosy. – Szczególnie na ciebie Gustav. Dręczysz tu chłopaka, ja w jego wieku byłbym jeszcze w środku sylwestrowej imprezy, a ty jak zwykle jedno: Biznes, biznes i pieniądze.

– Zdrowia, zdrowia i jeszcze raz pieniędzy – odparłem, cytując swoje ulubione życzenia urodzinowe, które jak widać, musiałem złożyć sobie sam. – Ktoś musi napędzać gospodarkę tego miasta.

Kamper zachnął i machnął ręką w ostentacyjny sposób, jednocześnie stukając swoim kuflem o dwa pozostałe.

– Na koszt firmy – krzyknął tak głośno, że usłyszał go pewnie sąsiedni budynek. Typowe zachowanie każdej działalności gospodarczej. Jeśli coś sponsorujesz, niech dowie się o tym jak największa liczba osób. Nawet jeśli byłyby to tylko długopisy z firmowym logo.

– To chyba mój szczęśliwy dzień – powiedział trochę ironicznie Bleesch, upijając trochę pianki. – Wszyscy stawiają.

– Jednak opłacało się trochę popracować w pierwszy dzień roku – roześmiałem się, co było trochę paradoksalne, bo przez resztę naszego spotkania w ogóle nie rozmawialiśmy o pracy. Bleesch i Kamper prześcigali się w coraz śmieszniejszych sylwestrowych opowieściach, których byli świadkami. Prym wiódł oczywiście Kamper, bo nie tylko wyglądał jak rubaszny wujek z wesela, posiadał też gawędziarki talent, który średnią historię przemieniał w scenariusz do najlepszej komedii. Jedynie niechęć do papierosów odróżniała go od klasycznego wujaszka. Takiego, który przerwy pomiędzy kolejnymi kuflami lubił wypełniać gęstym, tytoniowym dymem.

Nie mam pojęcia kiedy, ale czas zleciał strasznie szybko. Creep aż musiał przesłać mi wiadomość, że jest już 19:30 i jeśli nie chcę spóźnić się na koncert i spotkanie z Røbustem, muszę wyjść w ciągu pięciu minut. Miał rację. Klub „Credits to Doughnuts” znajdował się po drugiej stronie miasta. Pośpiesznie pożegnałem się z Bleeschem i Kamperem, wiedząc, że nasze ścieżki przetną się jeszcze wiele razy w tym roku. Biznesowo oraz prywatnie. Nie byłem tylko pewny, w jakich proporcjach.

Rozdział 2

„*** \$\$\$ *** ”

Mój samochód zatrzymał się praktycznie kilka metrów od wejścia do klubu, w którym za kilka minut miał się rozpocząć koncert Røbusta. W promieniu kilkuset metrów nie było możliwości, aby zaparkować, więc poleciłem Creepowi znaleźć najbliższe miejsce spełniające dwa warunki. Miało być w jak najmniejszym zasięgu miejskiego monitoringu. W końcu im mniej kamer do zhakowania, tym lepiej. Powinno mieć też wymiary większe niż standardowe 2,5 x 5,0m. Nie chciałem, żeby ktoś zarysował mi auto, bo mogło to się skończyć niezbyt dobrze dla obydwu stron. Ja musiałbym wydać fortunę na lakiernika, a Creep był ustawiony w trybie czuwania połączonym z bojowym. Naprawdę byłoby szkoda, gdyby niewytrwany kierowca wyładował w szpitalu przez kilka rys na moim Cadillacu.

Oczywiście mógłbym poprosić Creepa o unoszenie się kilka metrów nad ziemią w pobliżu klubu, ale było to niewygodne z dwóch powodów. Zbytńo zwracało uwagę oraz paliwo kosztowało fortunę.

Neon nad wejściem układający się w napis „Credits to Doughnuts” zdecydowanie pamiętał lepsze czasy. Podobnie jak sam lokal. Mimo to przed wejściem zebrała się spora grupka ludzi, którzy chcieli zobaczyć lokalną scenę muzyczną w Nowym Roku. Uśmiechnąłem się. Bardzo możliwe, że wyszli oni na zewnątrz na przysłowiowego papierosa, a ich sylwestrowa impreza trwa już od 24 godzin. Przepraszam. Powtarzam ten sam słaby żart od rana.

System monitorujący szybko ich sprawdził, potwierdzając moje przypuszczenia. Praktycznie nie byli uzbrojeni, nie licząc krwiobiegu zawierającego sporą dawkę alkoholu i tanich narkotyków. Ich przeciwnieństwem był bramkarz, który brak uzbrojenia zamienił na dwa pistolety z tłumikiem ukryte pod koszulą, a używki również na... używki tyle że zawierające nadprogramową ilość białka. W końcu duże mięśnie nie biorą się z owsianki. Jak to czasami próbują wmówić wnuczkom wszystkie babcie w mieście.

Zanim podszedłem do ochroniarza, mój wzrok przykuł holograficzny plakat informujący o dzisiejszym koncercie. Oprócz kolorowej grafiki przedstawiającej banknoty o dużych nominałach rozrzucone na stosie donutów, poniżej znajdowała się nazwa koncertu brzmiąca równie tandetnie, co nieprawdziwie – „Początek najlepszego roku z najlepszymi zespołami w Shadow Villens”. Ani ten rok, ani te zespoły nie były w zasięgu słowa „najlepszy”. Może tylko Røbust prezentował jakikolwiek poziom, jednak dopiero zaczynał, więc według rozpiski grał pierwszy. Całe szczęście.

– Na koncert? – spytał bramkarz, kiedy zrezygnowałem z wpatrywania się w plakat i zbliżyłem do wejścia.

– Patrząc na zespoły bardziej do baru – odparłem, szeroko rozkładając ręce oraz kwitując to szerokim uśmiechem.

Ochroniarz raczej nie podzielał mojego entuzjazmu, więc istniały dwie możliwości. Albo jego poczucie humoru zrobiło miejsce na mięśnie i wyprowadziło się dawno temu, albo wiedział, że poziom baru oraz zespołów jest podobnej jakości. Dlatego tylko pobieżnie mnie przeskanował i ostrzegł, żebym nie próbował wszczynać żadnych bójek. Na moje zapewnienie, że brzydzę się przemocą, stwierdził, że takie dziadki jak ja zawsze robią największe problemy. No tak. Tylko babcie dają czekoladę z nadzieniem w postaci dwóch stów. A takie dziadki jak ja często kłamią, że tak bardzo boją się przestawić komuś szczękę.

Wnętrze klubu wyglądało tak, jak się spodziewałem. Każdy zespół, który zaczynałby tutaj karierę, w późniejszych wywiadach wspominałby ze łzami w oczach, w jakich trudnych warunkach musieli startować. Strop znajdował się kilkanaście centymetrów nad moją głową, scena była wąska i ustawiona niemal na tym samym poziomie co publiczność. Ta też nie miała wcale łatwiej. Wystarczyło wyżej podskoczyć, by przebić się głową do sąsiedniego lokalu. Zaciekało mnie, jak tutaj wygląda taniec pogo, bo mogłem się założyć, że nie obywa się to bez ofiar w ludziach.

Podszedłem do baru będącym chyba jedynym pozytywnym akcentem tego klubu. Nie było to dużą niespodzianką. Założę się, że każdy właściciel takiego lokalu, gdyby tylko mógł, zostawiłby jedynie bar, wyrzucając całą muzyczną otoczkę. Z muzykami i ich fanami zawsze są największe problemy. W końcu jestem ojcem osiemnastoletniej córki, wiem, że muzycy to największe zagrożenie. Zwłaszcza ci lokalni, ledwo wiążący koniec z końcem.

Zanim zamówiłem małe piwo, przeskanowałem zgromadzoną już całkiem tłumnie publiczność. Sensory wykazały dużą zawartość potu, feromonów oraz alkoholu, co pozwalało przypuszczać, że wiele z tych osób straci dzisiejszej nocy resztki godności. Tak, wiem. Jeśli mają jeszcze cokolwiek do stracenia.

Za barem stał dzisiaj Vampir, co oczywiście było tylko jego pseudonimem. Kojarzyłem go z innych lokali, bo jak widać, nie gardził żadnym zleceniem. Od razu dostał za to dodatkowe punkty w prywatnym rankingu Gustava Draga. Zła wiadomość dla wszystkich zainteresowanych. Żadne nagrody nie są przewidziane.

– Cześć Gustav. Wszystkiego dobrego w Nowym Roku – rzekł Vampir z typową dla siebie mimiką. Czytaj: żadną. Ubrany był w czarny kombinezon z delikatnie iluminującymi wstawkami, a jego blada skóra jak zawsze mocno z tym kontrastowała. Nie było wielką tajemnicą, że uwielbiał wszczepy, bo wszystkie jego kończyny – obie ręce i nogi były implantami. Musze też wspomnieć, że były nieskazitelnie białe, chociaż bez problemu mógł wybrać powłokę ze sztucznej skóry. Ksywa Vampir jednak zobowiązuje. Chociaż dla mnie bardziej pasowałaby „Mr. Contrast”. Tak, wiem. Byłbym niezbyt dobry w wymyślaniu pseudonimów.

– Cześć Vamp. Tobie też wszystkiego dobrego. – Nie wiem, czy Vampir lubił skracanie swojej ksywki, ale jak widać w tym fachu również nie zarobiłbym milionów. – Dla mnie dzisiaj tylko sok „banan – porzeczką”. – Złożyłem

bezalkoholowe zamówienie, bo miałem już dosyć procentów dzisiejszego dnia. W dodatku bardzo możliwe, że dzisiaj w nocy czekała na mnie robota. To jednak zależało od Røbusta, który właśnie wyszedł na scenę, by rozpocząć rozstawianie swojego sprzętu. Nie było to jednak aż tak skomplikowane, bo w przeciwieństwie do większości zespołów w Shadow Villens, grał on sam, jedynie w akompaniamencie gitary akustycznej. Wystarczyły tylko dwie ścieżki w mikserze, bardzo podobnie do tandetnych zespołów disco. Wokal plus podkład, jednak nawet głuchy zauważyłby różnicę. Gitara grana na żywo kontra wcześniej zaprogramowana muzyczka z październikowym klawiszem na czele. Moje ręce prawie pokryły się gęsią skórą na samo wspomnienie brzmienia tego keyboardu.

– Jasne. Dla ciebie na koszt firmy – mruknął Vampir, rozlewając dwa soki w idealnych proporcjach, czytaj – pół na pół. Niektórzy tak samo mieszają wódkę z colą. Przepraszam. Często to alkohol miewa przewagę.

– Nie trzeba. Zapłacę – odparłem. – Wszyscy muzycy dzisiaj dojechali? – zagadnąłem, żeby podtrzymać rozmowę, chociaż naprawdę chciałem poznać odpowiedź na to pytanie. Noc z 31 grudnia na 1 stycznia mogła wyrządzić naprawdę poważne szkody w ich planach na dzisiejszy dzień. Oczywiście liczyłem, że tak się stało. Na plakacie doliczyłem się sześciu wykonawców, a Røbust pewnie będzie musiał wysłuchać występy wszystkich do końca, żeby okazać respekt lokalnej scenie. Sam kiedyś grałem, więc wiem, jak to wygląda.

– Muzycy? – zdziwił się Vamp, niemal rozlewając sok porzeczkowy. – Jacy muzycy Gustav. Ten, co teraz się rozstawia jest z policji. Rozumiesz? Pies rozpoczyna mi koncert w Nowy Rok. To miasto już mnie chyba niczym nie zaskoczy – dodał trochę podniesionym głosem, co w przypadku Vampira było sporym osiągnięciem.

– Znam go. Jest w porządku.

– Tak mówi twoja dziewczyna, kiedy przychodzi na imprezę z nowym chłopakiem.

Roześmiałem się, a Vampir kontynuował.

– Nie chcę wnikać w twoje preferencje, ale po nim wchodzi jakieś błazny z korporacji grający po godzinach, a później to nawet nie chce mi się sprawdzać. – Jego bezosobowy ton wydawał się być nawet zabawny.

– Czyli twój nowy rok rozpoczyna się z całkiem niezłą ścieżką dźwiękową.

– A twój z całkiem niezłym drinkiem. – Vamp przesunął szklankę z sokiem w moją stronę, a mnie jak zwykle zachwyciła mieszanina odcieni żółtego i fioletowego koloru.

– Dzisiaj sprowadzają mnie tu interesy, a nie garażowe melodie. – Wziąłem dużego łyka i spojrzałem w prawo, gdzie całkiem spora grupka osób chciała mnie zamordować za blokowanie barmana. Vampir w swoim stylu nic sobie z tego nie robił.

– Układasz się z tym psem?

Uśmiechnąłem się.

– Mam strasznie dużo punktów karnych i jeszcze więcej mandatów za złe parkowanie.

– Rozumiem. Nie mój interes – rzekł Vampir, po czym pierwszy raz od początku rozmowy szeroko się uśmiechnął, to znaczy lekko uniósł kąciki ust. – Dam ci radę od starego barmana. Od układów z policją nikt nie zrobił się bogatszy ani mądrzejszy.

– Wzruszające. Zastanawiam się teraz, czy sobie to wytatuować, czy może tylko zapisać w pamiętniczku.

– Wystarczy zapamiętać.

– Zapamiętam. – Wyzerowałem szklankę soku, a następnie zostawiłem duży napiwek, dziękując za piękny cytat do Złotych Myśli. Barman tylko wzruszył swoimi cybernetycznymi ramionami, a ja ruszyłem w stronę wydzielonej przestrzeni, która w „Credits to Doughnuts” przekornie była nazywana sceną.

Røbust wreszcie mnie zauważył, ale było widać po nim lekką tremę, więc tylko nerwowo mi pomachał, jednocześnie ustalając ostatnie szczegóły z akustykiem. Nie znałem go, ale można uznać to za plus. Nigdy nie miałem zbyt dobrych doświadczeń z klubowymi dźwiękowcami, dla których prośby typu „odsluchy trochę głośniej” brzmiały jak czarna magia pomieszana z najtrudniejszym dialektem chińskiego. Miałem jednak nadzieję, że tym razem będzie inaczej. W końcu dobre nagłośnienie dwóch ścieżek – wokalu i akustycznej gitary nie wydawało się być nauką o rakietach. Oczywiście każdy akustyk w Shadow Villens powie wam, że jest to znacznie trudniejsze.

– Cześć wszystkim. Witam w kolejnym roku w tym pięknym mieście – zaczął ironicznie Røbust, ale publiczności nawet się to spodobało. Rozległy się krzyki w geście radości, zamiast ostrych przedmiotów lecących w stronę sceny. Potraktowałem to jako dobry znak. Røbust chyba również, bo przełożył przez ramię pasek od swojej gitary akustycznej, po czym usiadł na podwyższonym stołku.

– Pierwszy utwór chciałem zadedykować wszystkim osobom, które mają ogromnego kaca po ostatniej nocy. Pochodzi on z mojej debiutanckiej płyty... – przerwał na chwilę, biorąc duży łyk piwa. – Oczywiście nie kac, tylko utwór. Chociaż wspominając czas w studiu, musiałbym się trochę zastanowić, czy aby na pewno. – Skurczybyk umiał radzić sobie z widownią, która wybuchnęła głośnym śmiechem. Na chwilę się odwróciłem i spojrzałem w stronę Vampira, który z politowaniem kręcił głową. Najwidoczniej bardzo nie lubił policjantów, a tym bardziej tych rozśmieszających publikę.

– To zaczynamy. Kawalek nazywa się „Przeklęty”. – Tym razem Røbust krzyknął i zaczął grać szybki riff, a ktoś z publiczności wrzasnął, że tytuł pasuje do kaca. Nie będę kłamać, nawet trochę się uśmiechnąłem.

Koncert trwał około 30 minut i musiałem przyznać, że było nieźle. Utwory były proste, ale nie prostackie, wokal i melodie na swoim miejscu, a sama prezencja Røbusta znacznie się poprawiła, odkąd ostatni raz widziałem jego występ. Kobiety wśród publiczności chyba podzielały to zdanie, bo poziom damskich feromonów w powietrzu znacznie przekraczał skalę. Naprawdę zacząłem się trochę obawiać

o Røbusta. Jeśli dzisiejszej nocy zechce wykorzystać swoją chwilową popularność, odwodnienie ma gwarantowane. Plus kilka chorób gratis.

Po tym jak wybrzmiały ostatnie dźwięki jego gitary, zszedł ze sceny i skierował się w stronę zaplecza. Dał mi znać na migi, że musi wziąć szybki prysznic, co przyjąłem z nieskrywaną ulgą. Spocony policjant z gitarą brzmiał jak synonim słowa kłopoty. Zamówiłem u Vampira szybką dolewkę soku bananowo – porzeczkowego i usiadłem przy wolnym stoliku znajdującym się w punkcie najbardziej oddalonym od sceny. Nie musiałem długo czekać, bo po kilku minutach zauważyłem jak Røbust idzie w moją stronę z gitarą schowaną do pokrowca. Zdążył się już przebrać i flanelową koszulę zamienił na czarną bluzę z kapturem, a przetarte dżinsy na... trochę mniej przetarte dżinsy. Podczas mijania kolejnych osób nietrudno było nie zauważyć śledzących go spojrzeń. Nie było to tylko spowodowane zagraniem pół godziny temu koncertem. Prawda była zatrważająco prosta. Røbust wyglądał naprawdę dobrze, a większość kobiet z miejsca przypięłaby mu łatkę „przystojny”, „ciacho” lub „przygoda na jedną noc pomnożona przez 365”. Miał lekko kręcone, długie blond włosy, szczękę z dobrze zarysowanymi kośćmi policzkowymi i uśmiech, który skłoniłby twoją babcię, aby przekazała mu wszystkie pieniądze odkładane dla prawdziwego wnuczka.

– Dobrze było? – spytał, dosiadając się do stolika. Był jak każdy muzyk. Nieważne czy amatorski, czy profesjonalny wypełniający wielkie stadiony. Po każdym koncercie zapyta swojego rozmówcę, czy mu się podobało, czy dobrze brzmiał, czy jego muzyka zmieni świat.

– Nie umiem odpowiedzieć. Nie wiem, jak było pod prysznicem. – Roześmiałem się, za co otrzymałem lekki cios w przedramię.

– Garderoba w tych klubach to rock’n’roll w wersji demo. Prysznic jest brudny, woda zimna, a jedyną kobietą, którą tam znajdziesz, jest owłosiony właściciel lokalu żądający kasy za pożyczenie mikrofonu.

– Nie da nawet dyszki na kebaba?

– Zapomnij.

– Przez chwilę chciałem wrócić do grania, ale na szczęście przypomniałeś mi, jak to wygląda. Szkoda, że nie znałem cię w liceum.

Røbust pokręcił głową, jednocześnie się uśmiechając.

– Jak ty byłeś w liceum, moi rodzice nawet się nie znali.

– Wzruszające – uciałem, chcąc już zmienić temat naszej rozmowy i przejść do głównego powodu spotkania. – To kto jest szczęśliwcem w tym tygodniu?

Mój skaner wykrył, że Røbust lekko napiął mięśnie, co było równoznaczne z mimowolnym dreszczem, który przebiegł przez jego ciało.

– Przeskanowałeś ten klub? Na pewno możemy tutaj bezpiecznie pogadać?

– Sam chciałeś się tu spotkać. Chyba że wolisz romantyczny nocny spacer w zaspach śniegu – zażartowałem. – Nie martw się. – Zamknąłem oczy na kilka sekund, aby wejść do Sieci. – Sprawdziłem właśnie to miejsce i nic, ani nikt nas tu nie nagra. Nasza rozmowa jest od teraz szyfrowana na kilkanaście sposobów.

Naprawdę nie chciałbym być na miejscu nieszczęśnika, któremu kazaliby crackować ten plik.

Røbust pokiwał głową z wyraźną aprobatą. Odwrócił się jeszcze na chwilę w stronę sceny, gdzie swój sprzęt rozkładali kolejni muzycy. Byli to chyba grający po godzinach pracownicy korporacji, o których wspominał Vampir. Każdy z nich miał normalną pracę na etacie, by utrzymać swoje drogie hobby, co było dość typowe wśród lokalnych grajków. Porządny sprzęt muzyczny od zawsze kosztował krocie.

– Podziwiam cię, że jeszcze się tam nie zgubiłeś – wyrwał mnie z zamyślenia Røbust.

– Gdzie? W Sieci?

– Tak. Znam wiele osób, którzy się tam całkowicie zatracili. Mówię ci. Totalne warzywa. Widziałem nawet kilka farm. Ludzie leżą na obszczanych materacach, oczy wywinięte na drugą stronę, z bezzębnym uśmiechem i wagą w okolicach 40 kilo. Nawet już nie wychodzą z Sieci, żeby coś wszamać, tylko kropiółka dożylnie i byle do przodu.

– Raczej do tyłu – westchnąłem. Wiedziałem, o czym mówi. Sieć odkąd powstała, zawsze zawierała 90 procent gówna i naprawdę potrzeba było ogromnego wysiłku, żeby tam nie przepaść. Dopamina serwowana szybciej niż w najtańszym fast – foodzie. Nie chciałem teraz wspominać, że ostatnio sam zacząłem mieć problemy po wylogowaniu. Neuroprzekazniki w moim mózgu pewnie były w opłakanym stanie i nie mogły przerobić tyle informacji naraz. Bałem się, że za kilka lat będzie to miało destrukcyjny wpływ na moje ciało, które już teraz, jak to powiedział Sigmund, zbyt szybko się starzeje. Z drugiej strony skończyłem właśnie cholerne 63 lata. Witamy w klubie seniora. Z fanfarami, dmuchanymi balonami i wieloma jednostkami chorobowymi. – Dobra. Ponawiam pytanie – oznajmiłem zdecydowanym głosem. – Powiesz mi, kto dzisiaj wygrał spotkanie ze mną?

Røbust zawahał się, zupełnie jakby robił to pierwszy raz, chociaż prawda była całkowicie inna. W głębi duszy był jednak policjantem, a zdawał sobie sprawę, że teraz łamie prawo. Co prawda w dobrej wierze, ale czy nie każdy bandyta w tym mieście mówi tak o swoich przestępstwach? Nie od dzisiaj wiadomo, że ludzie w więzieniach siedzą jedynie za niewinność.

W końcu przesunął małą kartę pamięci w moja stronę, a ja włożyłem ją do gniazda znajdującego się powyżej lewego nadgarstka. Wystarczyło kilka sekund, bym miał dostęp do wszystkich danych mężczyzny o imieniu Kanto Quam. Według dokumentacji zdjęciowej był on Azjatą mierzącym prawie 2 metry i muskulaturze, która mogła go wywindować na baner reklamowy każdej siłowni w mieście. Jego konto w banku nieskromnie mówiło potencjalnej dziewczynie, że pieniądze nie będą żadnym problemem w najbliższy wieczór. Mała poprawka. W najbliższym życiu.

– Co to za nadziany koleżka? – spytałem, bo nie miałem teraz czasu przebiegać się przez jego biografię.

– Siostrzeniec burmistrza.

Zmarszczyłem czoło.

– Shadow Villens?

Røbust twierdząco skinął głową.

– Niestety.

– Czyli cokolwiek zrobił, nie poznał jeszcze słowa konsekwencje.

– Niestety – powtórzył Røbust, znowu się odwracając. Udał, że patrzy na zespół, który właśnie się przedstawił się jako „Candy Scorpions”. Dawno nie słyszałem głupszej nazwy. Ich muzyka zapowiadała się równie obiecująco.

– Co takiego zrobił?

– Koleś jest totalnym psycholem. – Røbust niemal krzyknął, dodatkowo energicznie gestykulując.

– Domyślam się. Tylko takich mi przedstawiasz. Mam tylko nadzieję, że trochę inne dziewczyny przyprowadzasz na niedzielne obiady do rodziców.

Røbust mimo że nie chciał, szeroko się uśmiechnął. Po chwili jednak spowaźniał, a ja szybko zrozumiałem dlaczego.

– Ten frajer maltretuje zwierzęta.

– Rozumiem, że nie chodzi tylko o bicie własnego psa, chociaż wtedy też chętnie bym z nim porozmawiał.

Røbust głęboko wciągnął powietrze, co zapowiadało średniej długości monolog.

– Kojarzysz underNet? – spytał, a ja skinąłem twierdząco. Oczywiście, że kojarzyłem. Wie o nim nawet średnio rozbawiony nastolatek. Tak zwana ukryta Sieć, która służy do nielegalnych rzeczy, a wszystkim wydaje się, że są tam niewidzialni. Prawda jest taka, że są jedynie trochę bardziej przezroczyści. – I ten psychopata – Røbust kontynuował. – Zabija na streamach zwierzęta, a inni psychole po drugiej stronie ekranu podniecają się i robią sobie do tego dobrze. Przy okazji zgarnia z tego całkiem przyzwoitą kasę. Na pewno lepszą niż ja w policji.

– Rozumiem, że nie możecie nic z tym zdziałać, bo siostrzeniec burmistrza może liczyć na duży margines błędów życiowych.

Røbust przeklął w jednym ze skandynawskich języków, a ja poczułem, że moje dłonie mimowolnie uformowały się w pięści.

– Gównu możemy zrobić. Kiedy zgłosiłem to komendantowi, podsumował, żebym lepiej zaczął się przejmować swoją posadą, niż zwierzątkami.

Głęboko wciągnąłem powietrze.

– Zajmę się tym, ale potrzebuję nagrania jako dowodu.

Røbust szeroko rozłożył ręce.

– Na karcie masz tego pełno. Sprawdź katalog „_movies”.

Zamknąłem oczy i po chwili znalazłem się w przestronnym pokoju, w którym przed komputerem siedział Kanto. Był to zapis streama sprzed dwóch tygodni. Mogłem przełączać się pomiędzy kilkoma kamerami umieszczonymi w różnych częściach pomieszczenia. Azjata miał na sobie jedynie bokserki, a obok niego na podłodze leżał czarny, foliowy worek. Takie przedmioty na filmach zawsze oznaczają coś złego. Nie pomyliłem się. Kanto szeroko się uśmiechnął w stronę frontowej kamery, a następnie wyciągnął z szuflady czarne, odbłaskowe pudełko na buty. Wyjął z niego parę ekskluzywnych szpilek i powoli je założył. Wyglądał dosyć komicznie. Jego nienaturalna muskulatura w połączeniu z tym obuwiem naprawdę

nie gwarantowała mu tytułu królowej balu. Przez chwilę wdzięczny się do widzów, starając się tańczyć, jednak wyglądało to jak pokraczne wygibasy pijanego nauczyciela na studniówce. Po dwóch piosenkach zainteresował się foliowym workiem. Gdy go dotknął, coś w środku się poruszyło. Dopiero teraz zauważyłem, że był to mały, rudy kotek. Maksymalnie mógł mieć kilka tygodni, bo mieścił się w dłoni. Mężczyzna delikatnie go pogłaskał, a później znowu próbował tańczyć, co tylko utwierdziło mnie w przekonaniu, że bardzo źle wybrał swoje hobby. Po skończonej choreografii, położył kotka na podłodze i zrobił rzecz, której niestety się spodziewałem. Zaczął go przydeptywać, używając do tego tylnej części szpilek. Wynik tej walki mógł być tylko jeden. Nie trzeba było długo czekać, by na niedawnym parkiecie została tylko bezkształtna masa w różnych odcieniach czerwieni.

Po kilku sekundach Kanto znowu usiadł na krześle i wyciągnął papierosa z paczki leżącej na biurku. Były to jedne z najdroższych fajek tytoniowych dostępnych na rynku. Niemal poczułem małe ukłucie zazdrości. Mężczyzna odpalił papierosa zapalniczką wbudowaną w lewą dłoń i ostentacyjnie się zaciągnął. Byłem w stanie postawić sporą sumę pieniędzy, że jego kwaśny uśmiech będzie mi się śnił przez kilka najbliższych nocy.

Otworzyłem oczy, tym samym wyłączając nagranie.

– Czas trochę odwrócić role – powiedziałem do Røbusta, który tak jak Kanto szeroko się uśmiechnął.

Wszedłem do Sieci, chociaż wiedziałem, że to odchoruję. Jednak buzująca w żyłach adrenalina sprawiała, że nie chciałem tracić czasu i odkładać tej sprawy na później.

– Masz go? – usłyszałem zniecierpliwiony głos Røbusta, który wydawał się dobiegać z oddali. Wysłałem impuls elektryczny do swojej ręki, która wykonała ruch oznaczający, żeby poczekał. Wytropienie większości ludzi w Shadow Villens nie sprawiało mi problemu, jednak Kanto nie był zwykłym obywatelem. Miał powiązania polityczne, więc jego położenie było dobrze szyfrowane. Potrzebowałbym kilku godzin, żeby go odszukać, a na to nie mogłem sobie teraz pozwolić. Musiałem znaleźć coś innego. Jakiegoś śladu, który zostawił niedawno w systemie bez rządowych zabezpieczeń. Szczęście najwyraźniej mi sprzyjało, bo po kilku minutach natrafiłem na rezerwację do kina dla dwóch osób wystawioną na jego nazwisko. Seans miał rozpocząć się ponad godzinę temu, ale wliczając to niekończące się reklamy, miałem szansę być pod multipleksem kilkanaście minut przed końcem filmu.

– Chyba wiem, gdzie jest – powiedziałem, otwierając oczy i próbując powstrzymać wymioty. – Powinien być na seanse w kinie. Jeśli mam rację, dzisiaj

długo nie zaśnie po swoim kółku filmowym – mówiłem, cały czas przełykając ślinę. Była kwaśna i gorzka jednocześnie, jednak i tak było to lepsze od zawartości mojego żołądka. Coś czułem, że wyprawy do Sieci w tym roku będą jak poranki po imprezach w liceum. Pełne niespodzianek, których wcale nie chciałem. Tak, wiem. Zabrzmiało to jak refren taniej, rapowej piosenki.

Dobrze się czujesz? – spytał Røbust, który chyba się zorientował, że nie jest ze mną najlepiej.

– Już w porządku – odparłem, biorąc dużego łyka piwa z kufła stojącego przed nim.

– Możesz już dopić – stwierdził, bacznie mi się przyglądając. Nie oponowałem. Oczywiście w kontekście wyzerowania resztek ciemnego portera, a nie wpatrywania się we mnie.

Powoli wstałem, czując, że mój stan się poprawia. Nie miałem zbyt wiele czasu do końca seansu, więc wysłałem wiadomość do Creepa, aby zaraz podstawił samochód przed wejściem do klubu. Odwróciłem się jeszcze w stronę Røbusta i pozdrowiłem go skinieniem głowy.

– Daj znać, jak poszło – powiedział.

– Nie mów do mnie jak rodzice przed maturą.

– Wal się Gustav.

Uśmiechnąłem się.

– O! Tak już lepiej.

Mój Cadillac stał już przed „Credits to Doughnuts”, a znad silnika unosiła się biała para. Wygodnie rozsiadłem się na fotelu i poprosiłem Creepa, żeby dostarczył mnie jak najszybciej pod budynek, w którym zapewne Kanto obmacywał jakąś dziewczynę pod fotelem. W końcu miałem nadzieję, że na ten drugi bilet nie zabrał jakiegoś zwierzaka.

Kiedy byliśmy w połowie drogi, otworzyłem jeden ze schowków i wyciągnąłem przezroczysty aplikator. Prezent od Sigmunda. Wewnątrz znajdowała się bladoczerwona ciecz, która poprawiała moją wytrzymałość w walce. Oczywiście miałem nadzieję, że tylko ja będę stroną zadającą ciosy. Jednak przezorność nigdy mnie nie zawiodła, więc szybko włożyłem go do gniazda w lewym przedramieniu. Może to śmieszne, ale od razu poczułem się bezpieczniej. Było to całkiem miłe uczucie, bo dzisiejszej nocy chciałem sprawić, żeby siostrzeniec burmistrza na jakiś czas zapomniał, jak się nazywa. Albo nawet na chwilę stracił zdolność rozpoznawania literek i kształtów. Głęboko wciągnąłem powietrze, bo niemal czułem, jak ten pomysł splata się z wielkim, neonowym słowem „kłopoty”. Jednak drzwi z napisem „odwrot” zamknęły się już dawno temu. Røbust co jakiś czas dostarczał mi dane różnych skurczysynów, którzy byli chronieni przez pieniądze,

koneksje, władzę albo to wszystko naraz. Robili chore rzeczy, a żaden policjant nie mógł ich nawet dotknąć, bo w najlepszym wypadku wiązało się to z wydaleniem ze służby. Na szczęście na mnie nikt nie miał haka, a nawet jeśli, żaden z tych przyjemniaczków nie miał pojęcia, na kogo miałyby naskarżyć. Witamy w dorosłej wersji piaskownicy, w której to ja najlepiej obsługuję łopatkę i wiaderko. Oraz tanie porównania.

Multipleks znajdował się w bogatej dzielnicy Shadow Villens, na ostatnich kilku piętrach ekskluzywnego wieżowca. Oczami wyobraźni widziałem, jak Kanto po skończonym seansie zaprasza swoją partnerkę do samochodu, który znajdował się na dachu budynku. Tym razem dziewczyna będzie musiała pofatygować się autobusem. I to do swojego domu.

– Creep – zacząłem, po tym jak samochód zatrzymał się blisko wejścia do budynku. – Włącz skrypt zmieniający moją twarz we wszelkich monitoringach, które będę mijać i nie zapomnij też o sobie. Wybierz na przykład jakiegoś szarego pickupa z najbardziej wieśniackim spojlerem, jaki uda ci się wygenerować.

– Już się robi panie Gustavie – odparł, a ja niemal natychmiast poczułem w palcach przepływ Sieci pochodzący z mojego Cadillaca. Nie musiałem teraz sam logować do Sieci, bo już kiedyś złamałem wszystkie kody dostępu do miejskich kamer, więc wszystkim mógł teraz zająć się Creep. Pozostał jeszcze system kamer wewnątrz budynku, ale z tym też powinien sobie poradzić. Zapewne kilka lat temu nie musiałbym go o to prosić, ale w aktualnej formie wolałem uniknąć resztek jedzenia na desce rozdzielczej. Westchnąłem, jednocześnie otwierając drzwi, bo wiedziałem, że za kilka minut i tak będę musiał sam włamać się do systemu Kanto. Miałem jednak nadzieję, że w razie czego będą w pobliżu jakieś śmietniki. I paczka miętówek.

Kolejny raz zdziwiłem się, że na zewnątrz przybyło śniegu. Najwidoczniej walka z ociepleniem klimatu zaczęła przynosić świąteczne efekty. Szybko ruszyłem w stronę wieżowca, po chwili znajdując się w przestronnym holu. Nie czekałem długo na windę. Na dotykowym panelu wybrałem przedostatnie piętro, które było oznaczone logotypem sieci kin „Galaxy Movies 47”. Nazwa odnosiła się do piętra, na którym mieścił się multipleks. Osoba odpowiedzialna za ten copywriting już dawno wzięła rozwód ze słowem „kreatywność”.

Kiedy dotarłem na miejsce, pojawiłem się w pomieszczeniu z trzema dużymi ekranami holograficznymi, dzięki którym można było opłacić bilet na seans. Nie zastanawiając się długo, scrakowałem to urządzenie, kupując bilet na film „Wampiry i Wilkołaki 14”. Nie od dziś wiadomo, że ta tematyka dobrze się sprzedaje. Może bardziej wśród rozemocjonowanych nastolatek, ale mogłem chociaż poudawać kryzys wieku średniego w wersji pro.

Przystanąłem obok stoiska z popcornem i udawałem, że zastanawiam się nad wyborem rodzaju prażonej kukurydzy. Na szczęście kasjerem nie był człowiek, tylko android, więc gdy tylko obsłużył trzy osoby stojące przede mną, nie miałem żadnych wyrzutów sumienia, że nie reaguję na niemoralne propozycje w stylu: „Czy próbował

pan popcornu o smaku toffi?”. Cholera. Jasne, że próbowałem, ale mój dietetyk poluje na mnie od tamtego czasu.

Sprawdziłem godzinę. Zostało kilka minut do końca seansu, więc musiałem przystąpić do dalszej części planu. Wszedłem do systemu monitoringu kina i sprawdziłem, z kim przyszedł tutaj Kanto. Po kilku sekundach ustaliłem, że kobieta nazywa się Jahoda Milic. Kolejne kilka sekund zajęło mi się włamanie do jej systemu, a dalszą robotą musiał zająć się Creep. W końcu chciałem uniknąć różnobarwnych wymiocin na białych kafelkach kina.

– Creep – poleciłem mu w myślach. – Sprawdź wszystkie rozmowy Jahody z ostatnich kilku miesięcy. Szukaj czegokolwiek, co mógłby potrzebować ktoś z jej rodziny i co można dostać w tym budynku. Jedzenie, leki, rozrywka.

Odezwał się po niecałej sekundzie.

– Jej matka choruje na serce. Lek, którego używa jest dostępny w całodobowej aptece trzy piętra niżej.

– Dobra – niemal krzyknąłem we własnej głowie. – Sprawdź wszystkie możliwe nagrania jej głosu. Będiesz musiał za niedługo odegrać szkolny teatrzyk.

Creep nic nie odpowiedział, ale wiedziałem, że jest teraz zajęty tworzeniem wirtualnej osobowości Egidy Milic – matki Jahody. Przeczesał całą Sieć w poszukiwaniu wszystkich możliwych nagrań, na których została utrwalona. Wcielenie się w nią nie powinno sprawić mu teraz zbytniego problemu.

– Co teraz? – spytał.

– Czekaj – wycodziłem przez zęby, jednocześnie obserwując wyjście z sali numer 4. Widzowie powoli zaczęli się wyłaniać z przyciemnionego korytarza, a ja wiedziałem, że muszę uderzyć teraz. Ludzie tacy jak Kanto to straszni tchórze, wszędzie ciągną za sobą ochronę. Jednak nie na wyjście z dziewczyną. Chcą pokazać, jacy to są dorośli. Zapewne kilka goryli i tak znajdowało się w pobliżu, jednak nie głaskało go po plecach tak jak zazwyczaj.

– Mam ich – znowu prawie wrzasnąłem w myślach, wpatrując się w roześmianą parę trzymającą się za ręce. Przełknąłem ślinę. Jahoda zapewne nie miała pojęcia o kamerkowych pasjach swojego wybranka. Przez ułamek sekundy przyjrzałem się jej. Była ładna i prawie nie miała implantów. To już dużo w Shadow Villens. O Kanto wolałem się nie wypowiadać, bo zrobił na mnie nie najlepsze pierwsze wrażenie. I to bardzo delikatnie mówiąc.

– Teraz – poleciłem Creepowi, żeby rozpoczął naszą wspólną operację przeciwko siostrzeńcowi burmistrza. Wątpię, że mogliśmy liczyć później na pomnik przed urzędem miasta.

Jahoda nagle się zatrzymała, co było równoznaczne z telefonem od swojej matki, którą aktualnie była sztuczna inteligencja z mojego samochodu. Nie rozmawiali długo, bo pseudo Egida Milic prosiła właśnie swoją córkę o kupno kilku opakowań leku, który właśnie się skończył. Oczywiście mogło to brzmieć, jak naciągana historia, ale kto dokładnie wie, kiedy ich rodzicom kończą się leki. Optymistycznie zakładałem, że prawie nikt i tym razem się nie pomyliłem. Jahoda szybko wytłumaczyła coś Kanto i ruszyła w stronę windy, niemal uderzając mnie

barkiem. Mimowolnie się uśmiechnąłem. Mężczyzna znowu mnie nie zawiódł. Wiedziałem, że pali papierosa, a co każdy palacz robi po wyjściu z kina? Różnie, ale na pewno nie odmówi sobie przysłowiowej fajki na parkingu.

Podążyłem za nim, starając się jeszcze trzymać dystans. Przeszedł przez szklane drzwi, a ja przystanąłem kilka metrów przed nimi. Nie miało to jednak trwać zbyt długo. Poczekalem, aż odpali papierosa, jednocześnie znowu włamując się do jego systemu i tak zmodyfikowałem implant na jego siatkówce, aby moja twarz była zastępowana tą samą, co na monitoringu. Dzięki temu Kanto potwierdzi policji lub swoim ochroniarzom tożsamość z nagrań, więc wszyscy będą szukać osoby, która nie istnieje. Dla mnie brzmiało uroczo.

Musiałem teraz go tylko wkurzyć, jednocześnie usypiając czujność. Wydawało się niewykonalne, ale na szczęście wiedziałem, jak to zrobić. Również wyszedłem na parking, który znajdował się na części dachu wieżowca. Nie było tutaj zbyt wielu ludzi ani samochodów, co jak kilkakrotnie dzisiaj powtarzałem, było spowodowane ogólnokrajowym kacem z okazji Nowego Roku. Kanto zaciągał się gęstym dymem tytoniowego papierosa, zapewne obracając w myślach kształty Jahody. Albo wyobrażał sobie tortury kolejnego kotka. W obu przypadkach wywoływało to u mnie ogromne współczucie dla obu podmiotów lirycznych.

Mój plan był prosty. Jakiego pytania boi się mężczyzna stojący samotnie na stacji metra o 3 w nocy, czekając na poimprezowy pociąg do domu? „Podoba ci się moja dziewczyna?”. Takie pytanie rzucone od niechcenia przez miastowego opryszka może zmrozić w żyłach krew zmieszaną z alkoholem. Nie istnieje na nie jakakolwiek poprawna odpowiedź. Odpowiesz, że ci się nie podoba? Możesz już liczyć swoje zęby na chodniku i omawiać ze stomatologiem zniżki na implanty. Odpowiesz, że ci się jednak podoba? Lepiej przygotuj wannę wypełnioną kostkami lodu, bo siniaki będą zmieniać kolor niczym tęcza stulecia.

W przypadku Kanto postanowiłem trochę odwrócić kolejność.

– Podoba mi się twoja dziewczyna – zacząłem, starając się by mój głos brzmiał na jak najbardziej zmęczony. Zapomniałem wspomnieć, że projekcja twarzy serwowana wprost na siatkówkę mężczyzny wcale mnie nie odmłodziła. Byłem dla niego ponad sześćdziesięcioletnim dziadkiem. Czy już coś mówiłem o wkurzeniu i jednocześnie uspieniu czujności?

– Zębki śwędzą staruszkę? – spytał Kanto, po tym jak wypuścił z ust chmurę gęstego dymu.

– Jeszcze się trzymają. – Uśmiechnąłem się jak najszerzej, eksponując uzębienie. Miałem nadzieję, że w awatarze, który znajdował się w jego głowie, moje zęby są nieziemsko żółte oraz kilku brakuje.

– Masz jakiś problem? – Mężczyzna wyraźnie się usztywnił, wcześniej wyrzucając niedopaloną papierosa za barierkę.

– A kto dzisiaj nie ma problemu? – zarechotałem w najgorszy możliwy sposób, lekko się krztusząc, jednocześnie spluwając kilka centymetrów od jego buta. Idealna celność od czasów podstawówki.

– Zaraz pożegnasz się z resztą zębów dziadku, a widzę, że dużo ci nie zostało – zakpił Kanto, co było jego dużym błędem. Potwierdził, że wytrąciłem go z równowagi, a jednocześnie nie uważał mnie za godnego przeciwnika. Kątem oka spojrzałem w lewo, żeby sprawdzić, czy Creep zaparkował już w pobliżu. Na szczęście znajdował się kilka metrów ode mnie.

– Dobra – westchnąłem. – Przepraszam za zawracanie głowy. Twoja dziewczyna jednak mi się nie podoba. Straszna z niej paszteciara – dodałem po chwili, tym samym odwracając drugie pytanie miejscowego opryszka. Historia nocnych powrotów do domu zatoczyła koło.

Czas jakby zwolnił i tym razem ja usztywniłem wszystkie mięśnie, czekając na cios. Wiedziałem, że zaraz nadejdzie. Moje skanery zaczęły alarmować, że ciśnienie i puls Kanto niebezpiecznie wzrosły. Jednak tak jak wspominałem, miał mnie za bezzębnego dziadka, jego uderzenie nie powinno mnie zaskoczyć. Nie pomyliłem się. Cios był nagły, ale najprostszy z możliwych. Prawy sierpowy na wysokości mojej twarzy. Wystarczył prosty unik trenowany setki razy, by pięść przeszła powietrze, wytrącając go z równowagi. Lekko się zatoczył, próbując oprzeć się na moim ramieniu, niestety w tym przypadku nie byłem dziadkiem, który daje czekoladę z finansowym nadzieniem. Z prawej pięści wysunąłem siedem małych igieł zawierających środek zwiotczający mięśnie, a moje uderzenie idealnie trafiło w żołądek, powodując głuchy odgłos. Niemal czekałem na wypadający popcorn. Naprawdę.

Chwyciłem Kanto, bo zaczął się bezwładnie osuwać i byłem pewny, że nie mam zbyt dużo czasu, żeby stąd uciec, zanim zjawią się jego ochroniarze. Jahodą się nie martwiłem, bo cały czas znałem jej położenie. Aktualnie czekała w kolejce po lek dla matki.

– Teraz – krzyknąłem w myślach i niemal natychmiast mój Cadillac wyjechał z miejsca parkingowego oddalonego o kilkanaście metrów i po kilku sekundach zatrzymał się za moimi plecami. Szybko wrzuciłem bezwładnego Kanto na siedzenie pasażera, po czym sam zameldowałem się za kierownicą.

– Creep, autopilot do hangaru. Jakkolwiek i byle szybko – tym razem wrzasnąłem nie ograniczając się do własnych myśli. Nasz pasażer i tak nie miał szans się obudzić przez kilka najbliższych godzin. Oczywiście jeśli ja sam nie będę chciał, żeby to zrobił.

Musiałem jeszcze raz włamać się do jego systemu, aby tak zmodyfikować nadajnik GPS, by jego ochroniarze i policja udali się w nieprawidłowe miejsce zbiórki na kolonie. Oczywiście takie, gdzie jedyną atrakcją miało być znalezienie siostrzeńca burmistrza, jednak w tym przypadku kierownik obozu udał się do innego ośrodka. Szeroko uśmiechnąłem się z powodu słabego żartu, ale po chwili mina trochę mi zrzedła, bo znowu musiałem powstrzymać wymioty. Na szczęście nie planowałem już dzisiaj włamywać się do tak dobrze zabezpieczonych fragmentów Sieci. Gdyby mój żołądek umiał się porozumiewać, zapewne dostałbym nieskończenie długą wiadomość z podziękowaniami. I z listą rzeczy, których mam nie jeść przez najbliższy tydzień.

– Panie Gustavie – odezwał się nagle Creep. – Melduję, że aktualnie nie wyczuwam aktywności żadnych obiektów oraz pojazdów śledzących. Oczywiście cały czas monitoruję sytuację.

– Dzięki – odparłem, kilkakrotnie przełykając ślinę. – Nie zdejmuj jeszcze podmiany naszej powłoki z urządzeń nagrywających. Włamuj się do nich na bieżąco – dodałem po chwili, wiedząc, że jest to duża nadgorliwość z mojej strony. Wolałem jednak dmuchać na zimne, a Creep jak na sztuczną inteligencję był całkiem niezłym hakerem i w większości monitoringów powinniśmy występować jako latający szary pickup. Tak, z tym niesamowicie wieśniackim spojlerem.

Spojrzałem na Kanto. Jego klatka piersiowa unosiła się niemiarkowo, a na środku białej koszuli było widocznych siedem czerwonych kropek, które były pamiątką po aplikacji środka zwiotczającego. Przez ułamek sekundy miałem ochotę wyrzucić go z samochodu, ale musiałem zmienić zdanie. Po pierwsze znajdowaliśmy się kilkadziesiąt metrów nad ziemią, więc raczej miał nieduże szanse na przeżycie, a potrzebowałem go żywego. Po drugie umarłby wtedy bezboleśnie podczas snu, a na to też nie mogłem pozwolić. Za to co zrobił, musiał się trochę pomęczyć.

Wyjrzałem za okno, gdzie Shadow Villens powoli budziło się do nocnego życia po noworocznych imprezach. Neony odzyskały swój jaskrawy blask, co oznaczało, że w elektrowni pracowano o kilka zmian za dużo, a zimowy smog był już tylko kwestią czasu.

Lecieliśmy z dużo większą prędkością, niż ta dozwolona w poradnikach młodego skauta, i minęło może kilka minut, po tym jak opuściliśmy miasto, a krajobraz zmienił się na górskie pustkowia poprzecinane siatką dziurawych, lokalnych dróg. Wewnątrz samochodu było niemal całkowicie cicho, jedynie pracujący silnik oraz ciężki oddech Kanto przypominały o istnieniu jakichkolwiek dźwięków. Oparłem plecy mocniej na fotelu. Robiłem to zawsze, kiedy z niebezpiecznie dużą szybkością mój Cadillac zbliżał się wprost na pionową powierzchnię skalnego urwiska. Kilka sekund przed zderzeniem, kiedy resztkami woli powstrzymywałem oczy przed zamknięciem, fragment skały będący hologramem zniknął, a ja znajdowałem się w jednej z wielu schronów rozsianych po całym kontynencie.

Ze względów budżetowych nie była to duża kryjówka, całość składała się jedynie z dwóch pomieszczeń. Jedno z nich było oczywiście parkingiem, do którego mój Cadillac mieścił się niemal na styk, a drugie, odrobinę większe to salon z kuchnią. Naturalnie jeśli użylibyśmy nomenklatury deweloperów. Na samym środku znajdował się duży, przypominający nieco chirurgiczny, fotel. Specjalna rezerwacja dla naszego przyjemniaczka.

Wyjąłem go z samochodu, co nie było proste z dwóch powodów. Garaż był naprawdę ciasny i pomiędzy ścianą a drzwiami było niecałe 50 centymetrów szerokości. W dodatku sam Kanto znajdował się aktualnie w całkowitym stanie bezwładności. Głęboko westchnąłem i przełożyłem go przez ramię, a po krótkim spacerze do drugiego pomieszczenia zrzuciłem odrętwiałe ciało na sam środek fotela. Elektryczne kajdanki uaktywniły się niemal natychmiast, blokując mężczyznę

w dziesięciu najbardziej newralgicznych punktach. Był tak usztywniony, że potwory zombie mogłyby się uczyć. Szanse na zostanie mistrzem tańca na weselu również mocno spadły.

– No to zaraz zaczniemy przyjemniaczku – powiedziałem do siebie, wyjmując z metalowej szafki kuchennej przezroczysty pojemnik z brązową zawartością. Była to kawa z podwyższoną zawartością kofeiny, która była w stanie utrzymać mnie na nogach kilka dodatkowych godzin. Wypiłem połowę zawartości, czując jak ciśnienie mojej krwi podwyższa się o kilkadziesiąt jednostek. Sigmund oczywiście tego nie pochwalał, ale czy zawsze musimy słuchać rad starszego wujka?

Z mojej prawej dłoni kolejny raz wysunęło się siedem małych igieł. Przejechałem po nich palcem, jakbym chciał sprawdzić jakość wykonania. Nie zawiodłem się. Były aż nazbyt ostre. Przyłożyłem zaciśniętą pięść do brzucha Kanto, bo tym razem nie musiałem poprzedzać tego uderzeniem. Igły zachowały się praktycznie tak samo jak pijany student wracający z imprezy. Trafiły w poprzednie miejsca niemal na autopilocie. Roztwór, który znalazł się po chwili w organizmie mężczyzny tym razem zadziałał odwrotnie niż ostatnio. Kanto otworzył oczy i zaczął krzyczeć, jednak nie zrobiło to na mnie zbytniego wrażenia. Znajdowaliśmy się pośrodku niczego, a ściany tego bunkra miały kilka metrów grubości. W pokoju obok mogłaby się odbywać próba zespołu death - metalowego, a w tym pomieszczeniu moja ciocia mogłaby piec pierniczki w kształcie serduszek.

– Kim jesteś? – krzyknął mężczyzna, siłując się elektrycznymi blokadami.

– Kolegów z sieci nie poznajesz? – zakpiłem. – Jak widzisz, nigdy nie można być pewnym z kim się randkuje.

– Kim kurwa jesteś? – powtórzył pytanie, dokładając pośrodku magiczne słowo. Nieładnie. Bardzo nieładnie.

Wciągnąłem głęboko powietrze, a następnie nachyliłem się nad nim, tak że nasze twarze prawie się stykały. Zhakowana siatkówka Kanto cały czas zastępowała wygląd mojej facjaty wirtualnym awatarem, więc nie musiałem się obawiać, że ją zapamięta, a później naskarzy na mnie wujkowi z ratusza.

– Załóżmy, że dorabiam w schronisku dla zwierząt i bardzo nie lubię, jak ktoś rozdeptuje szpilekami moich podopiecznych – odpowiedziałem specjalnie obniżonym głosem.

– Co ty pierdolisz? I mów, kim kurwa jesteś.

Ostentacyjnie przewróciłem oczami.

– Widzę, że bez filmiku zapoznawczego raczej się nie dogadamy – oznajmiłem, a po chwili za moimi plecami pojawił się hologram, na którym rozpoczął się krótki seans będący zlepkiem kilkunastu scen z filmu, który dostałem od Røbusta. Nie chciałem kolejny raz go oglądać, więc w milczeniu przyglądałem się twarzy Kanto, a rozsiane po pomieszczeniu detektory cały czas monitorowały stan jego organizmu. Obwieściły też mój mały sukces. Ten gnojek zaczynał się bać. Ale nie wiedział, że to dopiero wieczorynka.

– Czego chcesz? – rzekł Kanto już bez swojego buńczucznego tonu, kiedy nagranie dobiegło końca. – Mam dużo kasy, mogę ci zapłacić.

Roześmiałem się.

– Znam wszystkie twoje konta i uwierz mi, mam więcej pieniędzy niż ty.

Detektory oznajmiły mi, że siostrzeniec burmistrza zaczął się bać jeszcze bardziej. Zrozumiał, że nie potrzebuję jego kasy, a wiedział braku innych talentów.

– To czego kurwa chcesz? – Taktyka krzyku i wulgaryzmów powróciła wraz z postępującym przerażeniem. Miód na moje czarne serduszko.

Skrzyżowałem dłonie i odpowiedziałem spokojnym głosem.

– Tu nie chodzi o to, czego ja chcę, ale czego chcą znajomi tego kotka.

– Co ty pierdolisz?

Pokręciłem głową z dezaprobatą.

– Przypuśćmy, że koty z miasta zrobiły zrzutkę, żeby mnie wynająć. A uwierz mi, jestem profesjonalistą i jeśli ktoś płaci z góry, zawsze kończę swoje zlecenia.

– Koleś, ci naprawdę odjechało.

Kolejny raz przewróciłem oczami.

– Po pierwsze oducz się tego bluzgania, bo przeklinać trzeba umieć, a ty reprezentujesz poziom najgorszej okrugówki. Po drugie skończ też z tym kolesiowaniem, bo kolegami to my raczej nigdy nie zostaniemy.

– Kurwa kol... – zaczął Kanto, ale nie był w stanie dokończyć tego elokwentnego zdania, bo jego ciało przeszył ładunek elektryczny o wysokim napięciu. Przez kilka najbliższych minut nie był w stanie wydać z siebie nawet najcichszego jęknięcia.

– Widzisz, mówiłem, żebyś przestał z tym przeklinaniem. I kolesiowaniem. Nie posłuchałeś, ale chyba troszkę napięcia lepiej ci to wytłumaczyło. – Nachyliłem się nad twarzą swojego zakładnika, dostrzegając wyraźnie zarysowany grymas bólu. Biedak nie wiedział, że to dopiero rozgrzewka. Przystawka. Wersja demo.

– Powiedz mi proszę – zacząłem spokojnym głosem. – Naprawdę myślałeś, że nikt się nie dowie, co streamujesz w Sieci? I że nikogo to nie zdenerwuje? – Zrobiłem krótką pauzę. – Żeby oczywiście nie powiedzieć dosadniej – dodałem po chwili.

– Odpierdol się. Nie wiesz, z kim zadarłeś, masz już przejebane stary capie – wychrypiał Kanto, nadal nadużywając wulgaryzmów. Wyraźnie się bał. To dobrze. Nawet bardzo. A to że nazwał mnie starym capem, na pewno zapamiętam i użyję przeciwko niemu. Mała tajemnica. Bywam pamiętliwym skurczysynem. Jak każdy sześćdziesięciolatek, kiedy jakiś gnojek wypomni mu jego wiek.

– Creep – powiedziałem w myślach. – Uruchom naszemu pensjonariuszowi mały przedsmak tego, co czeka go dzisiejszej nocy. – Niemal natychmiast mała wtyczka wysunęła się z lewego oparcia fotela i przylgnęła do nadgarstka Kanto, tym samym włamując się do jego systemu operacyjnego. Od razu został zainstalowany w jego rejestrze praktycznie niewidoczny program, który przy próbie usunięcia go przez niedoświadczonego hakera, mógł mocno nadszarpnąć pamięć długotrwałą nosiciela.

– Panie Gustavie – odezwał się Creep. – Wszystko gotowe. Rekomenduję poziom drugi.

Lekko się uśmiechnąłem.

– Zaczynij od trzeciego.

– Oczywiście. Jak pan sobie życzy.

Gdy ostatnie słowo Creepa rozbrzmiało w mojej głowie, całe pomieszczenie wypełniło się głośnym krzykiem Kanto. Chociaż chyba źle to nazwałem. Nie był to krzyk, bardziej skowyt lub jazgot. Szybko wyłączyłem w sterowniku mojego słuchu ten zakres dźwięków, jednocześnie mając na uwadze, że „Skowyt i Jazgot” brzmi jak dobra nazwa dla rockowego klubu muzycznego. Albo określenie prób garażowych zespołów z liceum.

Odczekałem kilkanaście sekund, wpatrując się w nienaturalnie wykrzywioną twarz, po czym poprosiłem Creepa, by na jakiś czas przerwał działanie programu.

Tym razem mężczyzna nie był już tak wyszczekany, bo wyglądał jak po wizycie u sadystycznego dentysty. Jego facjata nie wyglądała na zbyt synchronizowaną z umysłem. Tak, wiem. Dentysta nie musi być wcale sadystą, żeby pacjent tak prezentował się po odwiedzinach w gabinecie.

– Dlaczego? – wychrypiał Kanto, a jego głos był ledwie słyszalny.

– Czy kogoś ominęła prezentacja filmowa? – odparłem, nawet nie siląc się na ironiczny ton.

Przez kolejne kilkanaście minut mężczyzna błagał mnie, żebym nie włączał już tego programu, ale wiedziałem jednak, że potrzebne są jeszcze przynajmniej dwie sesje. Nie chciałem nazywać tego autorskim pomysłem, bo mogę się założyć, że podobne metody są stosowane na całym świecie. Tak zwane wirtualne tortury, które nie pozostawiają na ciele żadnych śladów. Boli jak diabli, a umysł doskonale wszystko pamięta. Dodatkowo czas wydaje się być nienaturalnie rozciągnięty, przez co piętnaście minut w prawdziwym świecie równa się pełnej godzinie w wirtualnym. Tak, wiem. Gdy gra się w gry wideo, to równanie ma całkowicie odwrotne proporcje.

Usiadłem na metalowym krześle, a zanim Creep włączył kolejne dwie sesje, wyciszyłem już wszystkie dźwięki i zamknąłem oczy, chcąc pomedytować.

– Creep, teraz – oznajmiłem, po czym przez dwie następne godziny nic nie widziałem. Ani tym bardziej nic nie słyszałem.

Otworzyłem powoli oczy i spojrzałem na Kanto. Skłamałbym, gdybym stwierdził, że spodziewałem się innego widoku. Mężczyzna ciężko oddychał i był niemal cały mokry. Nic dziwnego. Jego mózg wydzielił tyle hormonów stresowych, że mógłby spokojnie nimi obdarować cały poprzedni rok. Stare porzekadło mówi, że Święty Mikołaj czasem bardzo dziwnie rozdaje prezenty.

Nachyliłem się nad nim, tak że prawie stykaliśmy się policzkami, a moje usta znalazły się na wysokości jego lewego ucha.

– Słuchaj gnoju. Wiem, że jesteś siostrzeńcem burmistrza, ale dla mnie możesz być nawet synem samego prezydenta, i tak bym cię znalazł albo ty byś się przede mną nie ukrył. Wybierz wersję, która ci się bardziej podoba. Dlatego możesz się odgrażać, ile chcesz. Nie poznasz nawet pierwszej litery mojego imienia. A ja cię znajdę w kilka minut, jeśli najdzie mnie taka ochota. I uwierz, że najdzie, jeśli nie będziesz postępować zgodnie z poleceniami.

– Jakimi poleceniami? – Wychrypiał ze zrezygnowaniem Kanto, wciąż nie otwierając oczu.

Uśmiechnąłem się. Obawiałem się, że przez świeże wspomnienie bólu nie jest w stanie słuchać ze zrozumieniem.

– Sprzedasz wszystko, co masz wartościowego oprócz mieszkania i samochodu. – dyktowałem spokojnie, cyzelując praktycznie każde słowo. – I nie próbuj oszukiwać, bo jeszcze dzisiaj będę mieć listę rzeczy należących do ciebie. Później dziewięćdziesiąt pięć procent swoich pieniędzy przelejesz na fundację pomocy zwierzętom w Shadow Villens. Tak samo będziesz robić z każdą wypłatą albo z tym, co dostaniesz od rodziny. Masz też codziennie meldować się w schronisku na minimum dwie godziny i prosić o najgorszą robotę, której nikt nie chce robić. Zwierzaki mają uważać cię za swojego najlepszego wujka i przezywać „shitmaster”.

Przełknąłem ślinę, tym samym robiąc krótką pauzę.

– Jeśli jednak przyjdzie ci do głowy, żeby nie zrobić, o co teraz proszę, znowu cię tu przywiozę. I możesz mi wierzyć. Dzisiejsze spotkanie będziesz wspominać jako radosne wczasy nad jeziorem. Z piwkiem, grillem i prażonymi orzeszkami.

Mężczyzna powoli otworzył oczy, ale nie miał siły mówić, skinął tylko nieznacznie głową. Uznałem to za zgodę, bo zdawałem sobie sprawę, że do odzyskania pełnej sprawności potrzebuje minimum 24 godzin.

Dotknąłem interfejsu fotela, a elektryczne kajdanki natychmiast zniknęły. Chwyciłem Kanto i przełożyłem go sobie przez ramię. Ważył więcej niż się spodziewałem. Był jak wielki worek ziemniaków z wbudowanym kręgosłupem i mało zsynchronizowanymi odruchami. Tak, wiem. Wiele studentów na juwenaliach prezentuje się dokładnie tak samo.

Zaniosłem go do małego pomieszczenia będącego dodatkowym garażem, znajdował się tutaj jednorazowy pojazd transportowy, który miał zazwyczaj tylko jedno zadanie. Odstawić mojego gościa pod sam dom, a później ulec samozniszczeniu. W końcu płonący samochód w centrum Shadow Villens już dawno przestał kogokolwiek dziwić.

Otworzyłem drzwi i wepchnąłem Kanto do środka. Jego ruchy nadal były mocno ograniczone, więc nie było to takie proste. Przypiąłem go pasami, a wokół jego nadgarstków i kostek aktywowałem kajdanki. Uśmiechnąłem się. Chyba jestem słabym randkowiczem.

– Creep – wywołałem go kolejny raz dzisiejszego wieczoru. – Podrzucić naszego przyjemniaczka pod sam dom. Adres przed chwilą wgrałem do nawigacji. I pamiętaj. Ładowanie wcale nie musi być miękkie.

Wiem, że to niemożliwe, ale byłem przekonany, że Creep tajemniczo się uśmiechnął.

Drzwi windy otworzyły się niemal bezszelestnie. Przyłożyłem dłoń do szklanego panelu, który zeskanował linie papilarne, a po ich rozpoznaniu dźwign szarpnął i ruszyliśmy ku górze. Wyjście na powierzchnię po kilku godzinach spędzonych w schronie ukrytym w skalnym urwisku zawsze poprawiało mi humor. Zgodnie z tradycją wyciągnąłem tytoniowego retro papierosa i mocno zaciągnąłem się gryzącym dymem. Miałem już czwarte syntetyczne płuca, więc nie do końca przejmowałem się zdjęciami na paczce, które przedstawiały najgorsze choroby wywoływane przez szluga. Gdyby nie te sztuczne organy zapewne już dawno bym nie żył.

Przez dłuższą chwilę podziwiałem górskie krajobrazy, ubijając butami świeży, noworoczny śnieg. Następnie przymknąłem oczy i wziąłem głęboki oddech, pozwalając by rześkie i zmrożone powietrze pozwoliło zapomnieć płucom o dymie, który znajdował się tam przed chwilą.

– Witaj Gustavie – usłyszałem nagle. Było to zaskakujące z kilku powodów. Po pierwsze w obrębie kilkunastu kilometrów nie powinien znajdować się nikt żywy. Szczerze mówiąc, to martwych też nie powinno być zbyt dużo. Po drugie teren w promieniu pięciu kilometrów roił się od wszelkiego rodzaju czujników i zabezpieczeń i nie istniało zbyt dużo hakerów, którzy umieliby to dezaktywować. I tutaj przechodzimy do punktu trzeciego. Rozpoznałem ten głos i wiedziałem, że należy do hakera znacznie lepszego ode mnie. Do matki Leny, czyli mojej byłej żony, która zniknęła dziesięć lat temu.

Powoli się odwróciłem, próbując wywołać Creepa, jednak w tym miejscu pewnie i jego sygnał był teraz zagłuszany.

– Cześć Rozalio – odpowiedziałem, sprawdzając szybko, jakie systemy obronne nadal działają. Pracował jedynie system badający, jakie mam szanse w bezpośredniej walce. Ocenił prawdopodobieństwo na 2 do 98 na korzyść mojej byłej żony. Uśmiechnąłem się. Nie wyłączyła tego specjalnie, żeby pokazać moje miejsce w szeregu. Przez chwilę starałem się dostrzec nowe wszczepy, jednak czarny, matowy kombinezon niemal wszystko zakrywał.

– Miła miejscówka na odpoczynek poza miastem – zadrwiła, nieśpiesznie robiąc kolejne kroki w moją stronę. Miałem nadzieję, że nie chce mnie zaatakować, bo zgodnie z filozofią szowinistycznych żartów, kiedy była żona zjawia się po tylu latach, nie powinienes czuć się bezpiecznie. Na szczęście daleko mi od takiego poczucia humoru.

– Czego potrzebujesz? – spytałem, kiedy Rozalia znajdowała się niecałe dwa metry od mnie.

– Pomocy.

Uniosłem brwi. Nie miałem pojęcia, co musiało się stać, by moja była żona zdecydowała się wytropić mnie na tym pustkowiu i prosić o pomoc.

– Nasza córka została porwana. – Lekko zdenerwowany, ale jednocześnie zdecydowany ton głosu pozwalał przypuszczać, że Rozalia nie kłamie. W dodatku nie miała żadnego powodu, żeby to robić. Mogła mnie pokonać w kilkanaście sekund, a ja nie nawet nie zorientowałbym się, że coś się stało, więc takie tanie zagrywki nie były jej potrzebne.

– Jesteś pewna? – spytałem, jednocześnie uruchamiając program wskazujący aktualne położenie Leny. Nie lubiłem go używać, włączałem go tylko w nagłych przypadkach. Tak, wiem. Każdy rodzic tak mówi i te nagłe przypadki występują aż nazbyt często. Aplikacja nie wykazywała jednak żadnych nieprawidłowości i według niej Lena powinna znajdować się w domu. Naprawdę nie było w tym nic podejrzanego.

Rozalia pokręciła głową z dezaprobatą.

– Ten twój nędzny programik śledzący został dzisiaj scrakowany, więc najlepiej by było, gdybyś mi zaufała. – Jej ton głosu był tak stanowczy, że gdyby nie moja wrodzona podejrzliwość, zapewne bym w to uwierzył. Postanowiłem jednak użyć najprostszego sposobu, by potwierdzić swoją wersję. Wybrałem numer do Leny, ale zamiast sygnału, odezwał się syntetyczny głos mówiący o niedostępnym abonencie. Odruchowo wybrałem numer do Prältn i w tym momencie jej imię w ogóle nie wydawało mi się śmieszne.

– Ta dziewczyna nie żyje. – Rozalia chwyciła mnie za ramię, a jej głos tym razem brzmiał wręcz metalicznie. Nawet nie chciałem się zastanawiać, jakim cudem w czasie rzeczywistym przetwarza wszystkie moje działania w Sieci. Przez ostatnie dziesięć lat jej umiejętności hakowania musiały wejść na nieosiągalny dla innych poziom. Albo umiała to już wcześniej i teraz wyszło na jaw, skąd wiedziała, że nie wyrzuciłem śmieci. Tak, wiem. Słaby żart. I równie słaby moment.

– Kiedy to się stało? – odrzekłem, uznając, że naprawdę nie ma powodów, aby wciąż zaprzeczać tej sytuacji. Oddaliłem też w myślach całą masę pytań. Zdałem sobie sprawę, że przez te wszystkie lata Rozalia musiała mieć oko na Lenę i nie było to niewinne sprawdzenie, co słychać u córki, tylko monitoring jak na przydrożnej stacji benzynowej. Dwadzieścia cztery na dobę.

– Lena zniknęła około 12 godzin temu – zaczęła udawanym, spokojnym głosem, jednak i tak dało się wyczuć delikatne drżenie. – Wtedy odebrałam sygnał o nieprawidłowym działaniu znacznika lokalizacji. Został zhakowany i wciąż wysyła nieprawdziwe dane. Ktoś naprawdę zna się na robocie, bo sam wiesz, jak dobre oprogramowanie systemowe miała Lena.

Zakląłem w myślach. Złamanie aplikacji monitorującej jej położenie wymagało nie lada umiejętności. Całość pisałem chyba przez pół roku, starając się uwzględnić każdą, nawet najmniejszą lukę. Jak jednak widać, na kimś nie zrobiło to żadnego wrażenia. Nie licząc w tym oczywiście mojej byłej żony, która podpisała się do całego systemu i rozgościła się tam aż za dobrze. Zakląłem w myślach po raz drugi, dodając

sporo nowych przekleństw. Cały dzień byłem przekonany, że Lena po malowaniu w Centrum, wróciła do domu. W dodatku przez dwa dni miała nocować u nas Präln, bo jej rodzice dopiero pojutrze wracali z imprezy sylwestrowej. Z tego powodu brak jakichkolwiek wiadomości od córki w ogóle mnie nie zdziwił. Kiedy masz osiemnaście lat i nocuje u ciebie przyjaciółka, to twój staruszek raczej nie jest „very important person”.

– Masz jakiś plan? – spytałem, odkładając wszystkie inne pytania na później. Dlaczego Rozalia zniknęła dziesięć lat temu. Czemu nie kontaktowała się z Leną. Bo jeszcze umiem zrozumieć, dlaczego unikała styczności ze mną. Zdaję sobie sprawę, że jestem bardzo zgryźliwym człowiekiem, murowanym faworytem na przewodniczącego klubu wiecznie niezadowolonych seniorów.

– Plan jest bardzo prosty – oznajmiła. – Musimy ją znaleźć. Nawet jeśli będziemy musieli przeszukać to miasto metr po metrze.

– Brzmisz jak słabo napisana bohaterka z gry wideo.

Rozalia szeroko się uśmiechnęła.

– Witam w klubie. Myślę, że bez problemu dostaniesz kartę członkowską. I to złotą.

Na kilka chwil wszystkie sprawy z tego roku przestały mieć jakiegokolwiek znaczenie. Stesser z metra. Mój pogarszający się stan zdrowia. Przemyt broni z Lizbony. Rzekome urządzenie pozwalające kasować świadomość z dowolnego ciała i instalowanie w nim własnej. Kanto i inni psychopaci podsyłani mi przez Røbusta.

Liczyło się tylko odnalezienie mojej córki.

Cholera. To chyba ja zabrzmiałem jak słabo napisana postać z gry wideo.